

J A N B U Ł H A K

N A R O C Z

NAJWIĘKSZE JEZIORO W POLSCE

Z 38 ILUSTRACJAMI AUTORA

*Blum*  
100456

NAKŁADEM STANISŁAWA TURSKIEGO  
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA  
WILNO - WARSZAWA - POZNAŃ - LUBLIN  
WILNO 1935

## TEGOŻ AUTORA

1. „Moja Ziemia”, wydanie L. Chomińskiego. Wilno 1919 (wyczerpane).
2. Wędrowki Fotografą. Zeszyt I. Krajobraz wileński. Wydanie L. Chomińskiego, Wilno, 1931.
3. Fotografika. Zarys fotografii artystycznej. Wydanie Trzaski, Ewerta i Michalskiego. Warszawa 1931.
4. Technika bromowa. Wilno 1933. (na wyczerpaniu). Skład główny w księgarni Św. Wojciecha. Wilno—Poznań—Warszawa—Lublin.
5. Wędrowki Fotografą. Zeszyt II. Krajobraz widziany przez soczewkę. Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
6. Wędrowki Fotografą. Zeszyt III. Przez Ponary do Trok. Wilno 1933. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
7. Bromografika czyli metoda wtórnika. Wilno 1934. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
8. Wędrowki Fotografą. Zeszyt IV—V. Jezioro Narocz. Wilno 1935. Wydanie Stanisława Turskiego.
9. Wędrowki Fotografą. Zeszyt VI. Człowiek twórcą krajobrazu. Wilno 1936. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
10. Wędrowki Fotografą. Zeszyt VII. Ruszyczycowskie dożynki. Wilno 1935. Nakładem polsk. druk. art. „Grafika”. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.
11. Wędrowki Fotografą. Zeszyt VIII—IX. Pejzaż Wilna. Wilno 1936. Skład główny w księgarni Św. Wojciecha.

Pod redakcją i przy współpracy autora:

12. Almanach Fotografiki Wileńskiej. Wydanie Fotoklubu Wileńskiego. Wilno 1931 (na wyczerpaniu).
13. Almanach Fotografiki Polskiej 1934. Wilno 1934. Wydawca i skład główny Stanisław Turski. Wilno, ul. Bonifraterska 2 m. 4.

W przygotowaniu:

14. Wędrowki Fotografą. Zeszyt X. Kalwarja Wileńska.
15. Wędrowki Fotografą. Zeszyt XI—XII. Nowogródzkie. („Kraj lat dziecińczy”).

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright by Stanisław Turski, 1935.

Polska Drukarnia Artystyczna „GRAFIKA”, Wilno, Tatarska 22, tel. 13-69.

## PRZEDMOWA

Książka o Naroczy powstała w sposób nieco odmienny od zwykle praktykowanego. Naogół dzieje się to tak: ktoś opisze i zilustruje jakąś miejscowość, znajdzie w pocie czoła wydawcę, stara się otrzymać od niego najwyższe honorarium autorskie, a wydawca robi wszystko co może, by dać mu jaknajmniej i wyzyskać go jaknajdokładniej.

Inaczej było ze sprawą Naroczy. W ciągu dłuższego czasu z przyjacielem moim Janem Bułhakiem, studjowaliśmy nieraz niebo i barometr, by w wyniku tych obserwacji przemierzać autobusem 120 kilometrów bardzo kiepskiej doniedawna drogi, nietyle łączącej, ile dzielącej Wilno i Narocz. A naroczańska aura bywa często kapryśna i nieuprzejma dla turystów, zwłaszcza śpieszących i niecierpliwych. Co robić na jeziorze z aparatem, jeśli pogody jest za dużo lub za mało? jeśli niebo szczyrzy się bezchmurnym lazurkiem, lub płacze brudnymi łzami deszczu? Na sześć wypraw naroczańskich w ciągu dwóch lat tylko jedna była całkiem pomyslna. Ale wśród tych zagadnień i niepowodzeń dojrzała książka o Naroczy.

Autor jej, znany w Polsce artysta-fotograf, ukochał to przepiękne jezioro, przeżył z niem niejedno i włożył niemało trudu, by ten cud wodny utrwalić obrazem i słowem. Nieznany wydawca, miłośnik wody i żeglarstwa, dołączył swój wysiłek, by dać książkę do rąk tym, którzy nie umieją patrzeć obojętnie na biały żagiel i na pochyloną od wiatru łódź.

Opis poetycki i plastyczny J. Bułhaka został uzupełniony informacjami turystycznymi oraz mapą. Nie zaniebując danych rzeczowych, chcielibyśmy, by nietylko geografja upowszechniała piękno i poezję Naroczy. Chcielibyśmy również udostępnić każdemu

tę książkę przez jej niską cenę. I w tem wszystkim geneza jej jest odmienna od zwykłej: narodziny odbywają się nie w przytulku, lecz w domowym, rodzinnem kole.

W ten sposób rzecz o „morzu wileńskim“ powstaje w środowisku intymnem, bliskiem sobie i miłem. Wilno kocha swoje morze, a tubylcy naroczańscy niechętnie nawet godzą się ze zmianą rodzaju jego nazwy, dokonaną po tak zwanem „odkryciu“ Naroczy. Zdania są podzielone co do tego, czy mówić należy „ten Narocz“, „ta Narocz“? Wbrew przekonaniu używam ostateczniej, nie chcąc tworzyć dysonansu z autorem.

Do wyglądu zewnętrznego książki i do umożliwienia jej niskiej kalkulacji przyczynili się wykonaniem drukarnia „Grafika“, zakład cynkograficzny Zaniewskiego i polska wytwórnia płyt „Alfa“, na której płytach dokonano zdjęć. Wszystkim składam na tem miejscu serdeczne podziękowanie.

*Wydawca.*

## AVANT - PROPOS.

Ce livre nous présente une description du lac Narocz (Narotch), suivie de nombreuses illustrations, faites d'après les photographies du célèbre artiste-photographe, Jean Bulhak. Le Narocz est le plus grand lac polonais: il comprend 80 kmq. Il se trouve dans le palatinat (voïvodie)<sup>1)</sup> de Wilno, terre riche en fleuves et lacs. Mais le Narocz nous impressionne surtout par l'immense étendue de ses eaux. Ce lac est entouré d'autres lacs moins grands, unis entre eux par des ruisseaux. Cela se peut aisément voir sur la carte ci-jointe. Un touriste aura beaucoup de plaisir à voir ce lac.

D'après la définition de Jean Bulhak, tirée d'un autre livre, „notre paysage à l'encontre du paysage central est désert, primitif et sauvage“ et c'est là son grand charme. Tout homme las de la civilisation se reposera bien au sein de ce paysage. Cela ne veut pas dire qu'on doive se passer de confort au bord du Narocz. Une jolie pension dans la forêt au bord de l'eau permettra au touriste de trouver un bon repos après une journée, vouée aux excursions.

Le Narocz présente un excellent terrain de navigation, qui fait la joie des sportsmen.

Il existe à Wilno une Société de Propagande du Tourisme (Związek Propagandy Turystyki) qui informe les touristes et facilite les excursions.

Nous espérons, que ce livre contribuera à intéresser les touristes étrangers et les encouragera à venir visiter le palatinat de Wilno.

*Éditeur.*

<sup>1)</sup> La Pologne comprend 16 palatinats ou voïvodies.

## I. DO KOBYLNIKA

Niekażdy zapewne upodoba sobie, że wędrówka z Wilna do Naroczy rozpoczyna się o północy, a o świcie grozi „przeziadką“ z kolei normalnej na wąskotorową; że i ta ostatnia doprowadzi tylko do Kobylnika, skąd trzeba już będzie jechać dalej końmi. Niema na to rady, chyba żeby ktoś chciał zaryzykować jazdę autobusem miejscowego wyrobu, urządzonym tak przemyślnie, że przypomina jednocześnie łaźnię parową i puszkę z sardynkami. Koleją jest stanowczo i przestronniej i przewiewniej. Optymiści twierdzą nawet, że ostatnio wprowadzono jakiś znośniejszy pociąg dzienny, ale przeciętny wilnianin jest konserwatywny i zmiany rozkładu traktuje z należytą nieufnością \*). Zresztą nocna podróż ma swoje dobre strony i kto nie stracił cygańskiej żyłki w szaryźnie miejskiego kierata, ten nie będzie narzekał na spóźnioną porę odjazdu, tylko wychyli się oknem na górzysty krajobraz podwileński, pogoni wzrokiem za cienistością leśnych stoków, aż czarnych w księżycowym świetle, zapatrzy się w siną panoramę nocnego świata—i napewno zapomni o braku sypialnego wagonu.

Już jedziemy tym „niewygodnym“ pociągiem. W bladym mroku letnim zarysy okolicy stapiają się w mgławość niedopowiedzenia, która czaruje wyobraźnię i nastraja na nutę ballady. Nawet pociąg z sennymi podróżnymi i z przyćmionymi światłami nabiera wyglądu lotnego fantomu, który wyrwał się z cieśni miejskiej na wolne rozłogi i szczękiem kół skanduje radośne etapy coraz większego oddalenia od wszystkiego, co rzeczywiste, powszednie i nudne. Spójrzcie, jak cicho śpią pola w miesięcznej jasności, jak zwiewnie czepiają się mgiełki po łąkowych kępach, jak wiotko osnuwają one podnoża olszynek i przejrzystymi smu-

\*) Najnowsze badania rozkładu jazdy wykrywają istotnie pociąg dzienny do Kobylnika w południe.

gami zaciągają nizinne moczary. Jak bezszelestnie przemykają mimo okien ciemne zjawy drzew i tłumnie uciekają w szafirowe tajniki nocy. Jak chyżo płyną ze zmiennością sennego widzenia srebrzyste zwrotki księżycowej bajki...

W takim otoczeniu wybaczy zapewne podróżnik niezupełny komfort na dystansie Wilno — Łyntupy, a wczesny świt lipcowy będzie mu nastroczał wzamian coraz nowe odszkodowania. W Łyntupach po krótkiej pauzie przesiądzie się do uciechnej klatki wązkotorowego wagonika i po szynach drobnych, jak dziecinna zabawka, powlecze się dalej z rekordową szybkością piętnastu kilometrów na godzinę na spotkanie błękitniejącego poranka.

Nie lekceważmy jednak marudnej kolejki, bo bez niej bylibyśmy skazani na tortury pośpiesznego autobusu. Sypie ona wprawdzie truchcikiem bardzo miernym, ale w efekcie wrażeń jest miłsza o całe niebo od swojej starszej siostrzycy. Duża kolej opanowuje krajobraz i dzieli go na dwie odrębne części, już nie mogące zrosnąć się w jedną całość optyczną. Wprowadza obcy czynnik prawidłowości w płynne i krągłe kształty przestrzeni, zaprzecza jej falistej miękkości akcentem szorstkim i twardym. Inaczej poczciwa kolejka. Mała i niewymagająca, wślizguje się ona potulnie w pejzaż dookolny i poddaje się posłusznie jego tolerującej przewadze. Nie zagarnia swemi urządzeniami granicznych połaci polnych i zarasta trawą i kwiatami aż po krawędzie szyn, dyskretnie zdobiąc je zielonym sztafażem.

Miła, śmieszna kolejka! Przyjemnie jest w takie różowiejące rosiste rano usiąść na otwartej platformie wagonu, spuścić nogi ku torowi i przyglądać się, jak kwitnące badyle zalegają brzegi skąpego nasypu i trącają nogi jadącego; jak leszczyny i brzozy bratają się z zasapaną lokomotywą i z niskimi dachami wagonów, jak ufnie zagłębia się pociąg w znajome leśne tunele i pracowicie myszkuje po zaroślach; jak od czasu do czasu zakwilił pisikliwym dyszkantem, niczem kukułka albo czajka... Hu—huu!.... Dobrze nam tu u siebie, w domowej nieśpiesznej włóczędze. To nie międzystołeczne dalekie szlaki, dyszące surową gonitwą za chwilą i groszem, to nie potępieńcze łomotanie żelaznego musu i ośleplego pędu. My tu w swojskim, domowym zaciszu — i kolejka, i ludzie, i ziemia, i niebo nad tem wszystkim. My „pośpiejem“, gdzie nam potrzeba, pomaleńku i spokojnie, bez nerwowego dygotania, bez kramarskiego rwetesu. Hu—hu!.... Droga nie zając, nie ucieknie. A tymczasem, ot—pchamy się ze statecznym rozmysłem, z baczną uwagą na całe otoczenie, patrzymy sobie na żytnie po-

letka, co się nam kłaniają do nóg, zielonopłowe i powichrzzone czubami, jak rozczochrana wiejska dziatwa; gapimy się na nieskoszone sianożęcie, cieszące oko to aksamitną zielenią, to pstrą rdzawością kiermaszowych samodziółów, wjeżdżamy w leśne pasieki, gdzie wrzosy, borówki i mszyste paroście rozkładają się wzorzystą mozaiką, niby dywany, tkane niegdyś po dworach sprawnymi rękami prababek... I znów zapadamy w gęste i ciemne ostępy, gdzie tasiemki mgły przewiązują gałęzie białymi supłami, a wiatr rozczesuje brzożowe kędziory; gdzie osina tchórzliwie łopocze drobnymi listeczkami, gdzie sosna wyciąga rude palczyska do wschodzącego słońca, a świerkowe namioty stygną w wilgotnym cieniu, czekając aż i do nich dojdzie łaska słonecznego rozświtu...

My zresztą mamy po drodze mostwo ważnych czynności nieobjętych urzędowym rozkładem: tu musimy odsapnąć, tam pogawędzić, ówdzie obrządzić się, nabrać do parowozu wody z rzezułki długą, kaszlającą kichą; bylibyśmy nawet nie od tego, żeby zbończyć w las po jagody, a jak nie, to przynajmniej chcemy napatrzeć się dowoli i nacieszyć wszystkim, czem taka bogata nasza lesista, pagórkowata i jeziorna „ziamielka“. A potem—parowozik znowu huknie, jak przestraszona kukułka, przypomni sobie, że do Kobylnika jeszcze szmat drogi i znowu zacznie terkotać swój dychawiczny refren w przyśpieszonym rozgonie kół, żeby przecie kiedyś dojechać na miejsce...

Kolejka jest pocieszna i kochana, poranek rzeźwy i zdobny w pastelowe barwy, okolica wdzięczy się, jak ochocza zaściankowa dziewczoja, ranny chłodek mrówkami łaskocze po plecach; na sosnowych wierzchach zapalają się pierwsze czerwone świeczki zorzy, uciekają z pastwisk opary pajęczynowemi wstążkami, ucieka wraz z niemi przywitany i obejrzany krajobraz, czyniąc miejsce nowym widokom, nowym powitaniami i uśmiechom. Naprawdę — piękna jest ta ziemia nasza i cudownie jest jechać tak letniem świtanem przez Łyntupy i Kobylnik do wielkiej, błękitnej, już niedalekiej Naroczy...

A po drodze — czegoż tam niema na tej długiej drodze?... Dwory i zaścianki, wioski i sadyby, leśniczówki, gaje, brody, błota i uroczyska leśne... Przecież sam dobór ich nazw wyobraża serdeczną, niepisaną historję ziemi, pieści słuch, rozrzewnia oczy, pobudza wyobraźnię, starczy za opowieść, obraz lub piosenkę. Spójrzcie na mapę Postawszczyzny koło Olszewa, Konstantynowa, Świra i Naroczy i posłuchajcie, co ona wam namaluje i zaśpiewa.

Rzeczka „Stracza“ wije się pomiędzy jeziorkami „Omieżą“, „Hłubelem“ i „Hłubelkiem“, a ten Hłubelek—to prześliczne Morskie Oczko, malutkim turkusem wciśnięte w okrągły lej kwiecistej leśnej poręby. Przez „Brzozowy Mostek“ na „Siny Ruczaju“ wstępujecie uroczyście do „Cichego Boru“. Tam bagno „Czyściec“ wystawi na próbę waszą odwagę, a niesamowita „Czarna Łuża“, „Olchowe Błoto“ i „Hliniszcz“ będą usiłowały zmanić was z prostej drogi, prowadzącej, jak strzelił, do „Światłego Ostrowu“, w głębi którego polśniewa słonecznie „Biały Dwór“. Może zresztą ten dwór nazywać się z równą słusznością „Ustroniem“ lub „Zakątkiem“, „Polanką“ lub „Zalesiem“, „Malinówką“, „Kalinówką“ albo i „Poziomkowem“. Każdy przyjmie was i ugości z pocziwą prostotą, a przytem otoczy i oszołomi wszystkim, co rośnie, kwitnie, szumi i śpiewa...

Jeżeli wolisz, podróżniku, otwartą i pełną rozległość wioskową, to masz do wyboru „Iwanki“ i „Mikitki“, „Kacienięta“ i „Micinięta“, „Zielonki“ i „Hołubeńki“, albo wprost bezimienne „Pasynki“, „Bliźniaki“ i „Wnuki“. Chcesz może filozofji życia wiejskiego? W niewymyślnych jego kolejach, przez „Pieczonki“ i „Posażki“ dojedziesz do „Kosztowni“ i „Wesołowa“, a gdy się już przesyćiesz „Rozkoszą“, gdy pojdziesz czar „Pustelni“, a wartość „Trudopola“, wtedy w „Naddatkach“ losu znajdziesz „Pociechę“. Resztę zaś skołatanego żywota spędzisz niezawodnie w najlepszej i najpiękniejszej siedzibie, która się nazywa poprostu: „Dobrze—i—tak“.

Ja myślę. Dobrze i tak na tym bożym świecie nad Naroczą. Nie potrzeba ani „Rozkoszy“, ani „Naddatków“. Wystarczy zagroda z jakąś kryniczną łączką i z cienistą lipą nad domową strzechą. To nic, że bliższe ci tam będą „Biedunki“, niż „Bohaćki“, skoro nie zaznasz nigdy „Zawiści“. Za to „Domosławie“ i „Słoboda“ nauczą cię pogodnego uśmiechu mądrości, z którym będziesz chwalił Pana Boga za Jego „Dary“, zanim po „Starzynkach“ nie ukoją cię wreszcie „Kurhany“ i „Mniszyn Krzyż“...

Tak wygląda kartografia okolic naroczańskich, przez które w ten poranek wiezie nas kolejka. Tak brzmią luźne imiona miejscowości, wyłowione z tysiąca innych i nanizane na tęczową nitkę wyobraźni. Ale przecież te nazwy nie są zmyślone—przecież te osiedla istnieją naprawdę, są życiem samem, rozścielają się pobok toru i pokazują odwieczne dzieje ziemi i ludzi. Widzę je wszak z okna wagonu, zacichłe i stulone w matowej zieloności świtania. Słyszę, jak gwarzą przez sen swą prostą, nieuczoną mową. Dobrze

i tak... Nie trzeba inaczej... Tamto wszystko na wielkim świecie, to jeno blichtr i dym. Tu — w tej ziemi jest prawda i piękno. W tych drzewach, polach i zbożach, w razowym chlebie pracowitego dnia, w ogromie rozpostartego nad chatą nieba... Różowieje wschód, kolejka stukocze frasobliwie i wywija się po zagięciach drogi, mija coraz inne skupienia strzech, przycupnięte do ziemi i zaszyte w sadach, a wszystkie one, niezależnie od swej rzeczywistej nazwy, mają jedną, zawsze tę samą symboliczną nazwę, uczącą najwyższej mądrości życia: „Dobrze i tak“.

Ale jak je opisać mimochodem, te serdeczne „Dobrzeitaki“, kiedy niewiadomo, które wybrać, bo wszystkie śliczne i nienapatrzone, choć takie zwyczajne? Naprzykład choćby ten Olszew przy samym torze kolejowym, zakopany w lesistym wąwozie? Ale nie—właśnie Olszew nie jest zwyczajnym dworem. Olszew—to przedziwna tytułowa karta w tej kolorowej geografji marzenia. Popatrzcie jeszcze raz.

Gdzieś w dole, w głębokiej zarośniętej kotlinie, nagle majaczej dwór i w modrej szarzyźnie świtu rysuje się niepewnymi konturami, pociąga tajemniczością głuchego odosobnienia. Nad szeroko rozlanym stawem, w kępach wyniosłego starodrzewia, zatuliły się budynki wdzięcznym zbiegowiskiem. Za nimi, na stromych wzgórzach rozpiętrza się leśny park: surowo czernieje odbicie jego ściany w zastygłej wodzie. A wybrzeże wygina się pokrętną linią, to wysuwa się najeżonemi olchą cyplami, to uchodzi wgląd ciemnozielonemi zatokami, po których kupią się i włóczą wełniste mgły. Domu nie widać—osłaniają go zazdrośnie drzewa, drzemiące nad wodą. Wysokie, rozłożyste, odwieczne, zagarniają one pod swe panowanie cały obszar stawu, cały łańcuch wzgórz, rozsypują się po nich, pną się w górę, rozwieszają i odbijają konary w posępnem lustrze wodnem. Rozpościerają się wszędzie objawieniem mrocznej, skupionej, widmowej malowniczości.

Kolejka okrąży wszystkie te widoki, drapie się po urwisku, mija jakieś niewiarogodnie rosochate sosnowe przysady i wjeżdża na wysoki most, jakgdyby zawieszony bez oparcia w mgławej siności poranka. Z mostu spójrzenie biegnie raz jeszcze wzdłuż skrótu wodnej perspektywy, żegna się z jej leśnymi zagibami, a te schodzą się w ciasną ulicę i wbiegają pociąg w swoje cieniste gąszcze. Wpadamy w leszczynowe podcienia, pachnące rosą i poziomkami, lawirujemy pomiędzy grzędami malin i wachlarzami paproci, w korytarzach zagajników, rozpanoszonych bujnym rozrostem mokrego lata. Wyciągają się liściaste ramiona, zagrządzają szyny, poufale

muskają wagony i zapraszają do swojej zielonej kompanji. A potem widząc, że jednak nie zdołają nas zatrzymać, całemi girlandami zaglądną w okna i posyłają nam chłodne, perliste pocałunki—powitalne pocałunki obudzonej ziemi...

Już znikło Olszewskie uroczysko i pociąg kuszyka dalej na spotkanie nowych różanych i modrych dziwów wschodzącego słońca. Czyż to nie cudowny wynalazek—ta kolejka wązkotorowa?

## II. D O K U P Y

Po pięciogodzinnej jeździe koleją stajemy u wrót Naroczy, w Kobylniku, mając po za sobą przebytych ze sto trzydzieści kilometrów i dużo miłych wrażeń—wązkotorowych. Najbliższy brzeg jeziora leży już tylko o cztery kilometry, przy wsi Kupie, gdzie znajduje się nowe schronisko szkolne, przeznaczone dla młodzieży. Właściwa stacja turystyczna o charakterze publicznym jest położona dalej, o osiemnaście kilometrów od Kobylnika, za wsią Hatowicze, na brzegu lasów, należących do dóbr Uzła Wielka. Do obydwóch schronisk można się dostać samochodem albo końmi. Chcemy oczywiście być wszędzie, ale od czego zacząć?

W drewnianej budzie, tytułującej się bufetem, składamy naradę. Popijamy herbatę z poziomkowego naparu i gryząc skamieniałości sędziwego pieczywa, deliberujemy, czy jechać pośpiesznie blaszanym gruchotem autobusowym, czy też zadowolić się po staremu wózkiem z kudłatą szkapą i rozczochranym autochtonem. Gorąca choć cienka herbata smakuje nam wybornie po całonocnej włóczędze, pomimo swego wątpliwego pochodzenia, bliższego Postaw niż Cejlonu. Zawily dylemat: autobus czy autochton wywołuje sprzeczne opinie towarzystwa.

Z własnego doświadczenia doradzam wybrać zło mniejsze, czyli powolniejsze: furmankę. Droga przecież obfituje w niezrównane widoki, gdyż prowadzi przeważnie samym brzegiem jeziora. Lepiej jest odbyć ją spokojnie, przyglądając się okolicy, niż trwożnie rachować własne zęby w benzynowym fetorze i po wytrzęsieniu duszy z ciała być dostarczonym loco w stanie niezdatnym do użytku.

Bierzemy zatem wózek i jedziemy na razie do Kupy, mając zapewnioną w tamtejszym schronisku protekcję w osobach pedagogicznego odłamu naszego grona. Woźnica jest należycie rozmowny i dobrodusznie informuje nas o stanie pogody, zasiewów i o innych wydarzeniach miejscowych. Po godzinie drogi piaszczystemi zagajnikami widzimy niedużą wioskę, rozsypaną po pagórkach nad jeziorem, które zwolna odstania swą siną rozłożystość. Czyni to dyskretnie i stopniowo, by nie wystawiać naszej

wrażliwości na zbyt nagłą próbę. Objawia się zdaleka wielką siną smugą, zawieszoną w powietrzu jakby powyżej linii widnokregu, ale to wystarcza, by zdumione oczy nie mogły się oderwać od tego widoku, a wzruszenie zatamowało dech. Narocz już stamtąd opanowuje wyobraźnię.

Stajemy. Na okazałym, choć nieco pustawym wzgórzu, różnie świecą nowiutkie pudełka Schroniska Szkolnego. Pukamy do jego bram z dobrym skutkiem. Gospodarze gościnnie udzielają nam przytułku, ale zato niebo jest mniej uprzejme: zachmurza się brzydko i zaczyna siąpić drobnym kapuśniakiem—miłą zapowiedzią mokrej trzydniówki. O jakiegokolwiek ekspansji terytorjalnej lub wodnej nie może być mowy, chociaż Narocz, oglądana z wysoka, imponuje ponurym stalowym ogromem.

Więc tymczasem podziwiamy wygodne urządzenia schroniska, zakrojone i wykonane na szeroką miarę i zapoznajemy się z tą nową placówką krajoznawczą, dźwigniętą po amerykańsku w ciągu krótkiego czasu. Z chętnych wyjaśnień kierownika dowiadujemy się, że w lutym dopiero zaczęto zwozić drzewo na budowę, a teraz — w lipcu (1933 r.)—już wznosi się obszerny pawilon główny z sypialniami, mogącymi pomieścić kilkadziesiąt osób, z ładnym tarasem i szerokimi schodami, zstępującymi do samej wody. Obsiane i zadrzewione trawniki, foremnie rozplanowane, łączą pawilon z oficyną, mieszczącą jadalnię i kuchnię i schodzą do przestronnej szopy na brzegu, pełnej łodzi, kajaków i wszelakiego sportowego sprzętu wodnego. Wszystko to za niewielką opłatą służy do użytku młodzieży szkolnej, która gęsto roi się w schronisku, a prócz tego zaludniła pobliskie laski namiotami obozów harcerskich. Z miłym uczuciem ogląda się to naroczańskie gniazdo sportowe: wszystko tam aż dzwoni wesołym śmiechem, aż tętni gwarną zabawą i w niezmaconej uciechu, nie bacząc na kaprysy pogody, używa letniego wywczasu.

Dla informacji turystów dodać należy, że schronisko w Kupie ma charakter zamknięty i jest dostępne przedewszystkiem dla osób związanych ze szkolnictwem. Blizkie położenie przy kolei czyni je ponętnym punktem oparcia dla przyjezdnych, którzy jednak powinni wiedzieć, że nie mogą tam liczyć na nocleg z całkowitą pewnością i znajdują go tylko w miarę wolnego miejsca i uczynności gospodarzy. My zresztą nie mogliśmy na nią narzekać i spędziliśmy wygodnie dzień w oczekiwaniu na lepszy humor zadasanego nieba.

W sali jadalnej znaleźliśmy dokładne mapy, specjalnie spo-

ządzane dla schroniska. Więc — mapę plastyczną Naroczy i sąsiednich jezior Miasra, Błatego, Batoryna i Miadziola, mapy geologiczne i przyrodnicze tej wspaniałej grupy jeziornej, skupionej niby jagody winnego grona obok swego największego ośrodka. Narocz — nasze lądowe morze — ma około 80 klm. kwadr. powierzchni, a 13 klm. średnicy w najdłuższej linii, łączącej północną Kupę z południowym Zanaroczem, skąd wypływa rzeka Naroczanka, kierująca się przez Słobodę, Izę i Hanutę do Wilji. Mierząc 40 klm. obwodu, Narocz jest największym jeziorem w Polsce. To cały osobny kraj wodny, dość gęsto zaludniony na północy i wschodzie. Do wybrzeży przylepiło się ozdobnie około dwudziestu osiedli, wiosek i dworów, jak na przykład Nanosy na górzystym półwyspie, ostrym klinem wrzynające się w głąb jeziora, Czerewki i Podrezy, nieomal kąpiące się w wodzie, Pasyunki i Ostrów nad cichą zieloną zatoką, Mikolce położone u wąskiego przesmyka pomiędzy Naroczą a Miasrą, które tylko most rozdziela w miejscu spłynięcia, nakoniec Hatowicze z sosnowym gajem cementarnym nad samym jeziorem i Uzła Wielka, na leśnym skraju której rozgościło się „Schronisko Turystyczne“. Każda z tych wiosek może stanowić przytułek dla tych wędrowców, którzy przekładają czar pierwotnej przyrody nad komfort szablonowego hotelu i którzy będą szukali nad Naroczą wrażeń nowych i bezpośrednich, a nie wygodnego miejskiego pasożytnictwa.

Narocz odróżnia się od innych naszych jezior obszarem i prostotą. Prawdziwa wielkość nie potrzebuje drobiazgowej ozdoby. Obchodzi się bez niej i Narocz. W przeciwieństwie do zawiłej rzeźby brzegowej mniejszych jezior przedstawia ona zwarty i gładki okrąg, pozbawiony wysp, załomów i wykrojów; ma figurę obłą, łagodnie wyokrągloną i kształtem przypomina prawdziwe serce ludzkie. Gdyby nie potężny trójkątny półwysp Nanosów, co jak róg nosorożca bodzie jezioro, gdyby nie przerost lewej komory na północy, byłoby to prawidłowe anatomiczne serce, wymalowane szafirem na szmaragdowej mapie kraju przez przedwieczne kataklizmy. Ten rozległy wodozbiór ma jedną tylko wyspę przy północno-wschodnim brzegu między Pasynkami a Ostrowiem i tamże parę wyciętych odnóg, stanowiących półwyspy w stanie zaczątkowym. Przed wojną prawie nieznaną i całkiem zaniedbaną, jak tyle innych pięknych zakątków Wileńszczyzny, Narocz wstąpiła się czasu wielkiej wojny, jako pole długich i uporczywych walk, ponieważ leżała na linii granicznej frontu niemiecko-rosyjskiego. Po ukończeniu działań wojennych i po spustoszeniu

przez obcych, została szczęśliwie odkryta przez swoich i dzisiaj stanowi perłę naszego krajobrazu wodnego, przedmiot pieczołowitego zainteresowania władz rządowych i społeczeństwa. Podobnie jak nasz Bałtyk, ma doskonałe plaże z drobnym i czystym piaskiem, z wysoką i szumną falą; ma przezroczystą głębię twardego, równego dna, a gdzieś tam nawet przygięte wiatrem zachodnim karłowate sosny (w Nanosach), tak charakterystyczne dla pejzażu nadmorskiego. Odznacza się także różnorodnością terenów brzegowych, od zakłęsłych moczarzysk i piaszczystych ławic do wyniosłych wzgórz leśnych, stromo panujących nad ogromem wodnej przestrzeni. Narocz jest bezsprzecznie wielkim jeziorem i imponuje prostotą swojej wielkości.

Uwięzieni przez deszcz i zmuszeni do obcowania z graficznym tylko wizerunkiem jeziora, patrzaliśmy nie bez ciepłego zainteresowania na to błękitne serce na ściennej mapie, przyciągające myśli swą symboliczną sylwetą. Niejeden z nas wiedział już, jakim ono być potrafi w słoneczności pogodnego dnia, a będąc spragniony tego widoku, przeżywał osobliwe chwile oczekiwania, słodzonego nadzieją; czuł ze wzruszeniem, jak go osnuwają intymne nici współżycia z jeziorem, które jest tuż obok i może zaraz, za chwilę objawi się w całej swej krasie. Te chwile wstępne zdawały się być nie pospolitym epizodem podróźniczym jedynie, lecz trudną, wartą przetrwania próbą, tajemniczym przedśmionkiem, pełnym kuszących obietnic, ziszczenie których będzie tak promienne, jak samo słońce.

Ale niebo było nieubłagane i nie przestawało znęcać się nad całym światem naroczańskim, czyniąc z niego jedną olbrzymią syntezę mokrej szarżyny. Więc na pocieszenie stukaliśmy gorliwie w barometr, zrana oporny i obojętny, ku wieczorowi nieco ułaskawiony: strzałka jego już zaczynała drgać radosną wróżbą odmiany i przyrzekała zdjąć rychło żalobną krepę z błękitnego serca Naroczy. A zresztą nawet słońce nie potrafiła całkiem przesłonić jej piękności: w przerwach deszczu nabierała ona zielonawych tonów, srebrzyła się daleką połyskliwą rubieżą — odbiciem jaśniejszych chmur, za którymi czaiło się słońce. Po wodzie wiatr ganiał falę i to ściągał, to znowu rozścielał zmarszczone seledynowe chusty, ruchliwie znikome. Chmury wówczas dostawały kolorów: kłębiły się atramentową sinością, przewalały się białobrzuchemi stadami, a wszystko razem malowało swoisty, zimnobarwny obraz jeziorny, rozfalowany, spieniony i szumny, który nęcił oko, zanim go nie zakryła nowa złośliwość deszczu.

### III. B I A Ł A N O C

Stalowobury wieczór przeziara płowemi prześwitami w rzedających chmurach. Czuje się za niemi słońce, jeszcze uwięzione, ale już blizkie wyzwolenia. Pod perłowem sklepieniem nieba smętnieje sfalowana, bezkresna szarość jeziora. Tylko czasami rozweseli ją rozbrzask białego żagla lub przelot mowy zaświeci błędną iskierką. A oto jeden pomarańczowy żagiel rozpostarł się zwrotnie na wietrze i zaśmiał się ciepłą barwą słońca, jakgdyby świętował jego przeczuwaną bliskość. Wiatr ścichł i przestał pruć wodę pianistemi grzędami. Drobną falą ulegle kładzie się na piasku i muska brzegi przymilną pieszczotą.

I nagle—przez rozemkniętą okiennicę chmur wyblyska słońce, a wszystko odrazu rozwdzięcza się prześlicznym kolorowym uśmiechem. Zaczerwieniły się sosny, zgranatowały obłoki, seledynowym szafirem przyoblekła się woda. Zawirowały u płytkiego brzegu tańczące krążki, jak centkowana skóra płowego zwierza. Zaigrała ruchliwa mora dna siatką topazowych żyłek, drżących łyskaniem zakłętego skarbu. Pomalowało wieczorne słońce świat barwnym zestrojem doskonałej piękności.

Ale tylko na chwilę. Świat zapalił się różaną łuną i zgasł razem ze słońcem, pochłoniętem przez nową nawałę chmur. Powróciły barwy szare i sine bez najmniejszego ciepłego odblasku. Znowu napływają zwały niskich obłoków, ścielą się pokotem nad jeziorem, sieką przelotami kroplistego deszczu jego wzburzoną powierzchnię i zaciągają widnokrąg jednolitą ołowianą oponą.

Ściemnia się. W burym zmierzchu rodzi się noc. Jak wyrok złego losu posępnie zwisa nad wodą. Panoszy się pustką i mrokiem, szarą nicością zalega świat. Ale niebo buntuje się przeciw okrucieństwu nocy, zaczyna pękać płowemi przeblyskami i oto w niespokojnych porywach wichru, w rozwiei chmur, otwiera oko rumiana twarz księżycy. Tańczącą kulą biegnie po zazębieniach obłocznej ławicy, wybija się poprzez ciemne kłębowiska na otwarte wyloty, rudą miedzią zabarwia postrzępione obrzeżenia, a wresz-

cie oczyszcza się ze śniadej otoczki, blednie, srebrnieje i już swobodnie płąsa w szczelinie rozdartych obłoków, niby jakaś bajeczna lampa, zaświecona wśród nocnych firanek.

Nie widać jeszcze jeziora. Z wysokiego pobrzeża wyczuwa się tylko jego tajemne rozplaszczanie w ciemności, pełne udęzonego oczekiwania na księżycowe zwycięstwo. Smutek omroczeń splata się z otuchą prześwitów i dłuży się pasmem chwil czarnych i błękitnych o nieskończonym trwaniu, zanim na koniec pokorny rozpływ chmur nie obwieści finału walki światła z mrokiem i jasna pełnia nie zapanuje triumfalnie na wypogodzonym sklepieniu nieba.

Z wyniosłego tarasu wzrok zapuszcza się w nocną dal i z ulgą wita świetliste władztwo księżyca. Długą srebrną drogą kładzie się już na fali jego drgający sobowtór, rozpryskuje się w migotliwych zmarszczkach wody i przychodzi do samego brzegu jeziora nęcącym przyzywem. Miesięczna droga w nieskończoność zniewala wszystkie czucia, prowadzi za sobą wszystkie myśli władnym urzeczeniem. Zacichło uśpione schronisko, masywną sylwetą przywarło do ziemi. Ostro odcinają się jego cieniowe załomy od bladego piasku ścieżek, a młode drzewiny, sperłone deszczem, stoją wyiskrzzone w nocnym przeźroczu.

W taką noc niepodobna zasnąć: słodko zmaczone są myśli i spragnione przygód błękitnych i srebrnych. Cichemi stopami błądzi się przez fosforyczne światłocienie wzgórz, poddaje się dreszczom dzieciniego lęku w mrocznych alkowach zarośli, by z ukojeniem powrócić na zbawcze szlaki jasności; chwytą się poszepty wiatru, pachnącego cierpką wilgocią wodorostów; słucha się tajemnego głosu dalekich ech, jakie wskrzesza i przywołuje czarowny oman tej białej nocy... A potem odpycha się łódź od brzegu ostrożnym wiosłem i wypływa na szafirowe bezbrzeże, by śnić dalej sen białej nocy naroczańskiej...

Nad ranem noc ze srebrzystej staje się dosłownie białą. Z jeziora napływają gęste opary i spowijają brzeg nieomal dotykającą bielą. Niema już wody, ani ładu, ani schroniska, choć ono tuż — słyszałoby się jego oddech, gdyby nie spało tak cicho i mocno w rozemglonej kołysce świtania. Roztopiły się i znikły w mlecznej powodzi wszystkie zarysy i kształty, ścemiło się i oślepiło księżycowe oko. Mgła jest jedynym bytem i treścią świata i skuwą go więzami białej niewoli.

Ale nienadługo. Wkrótce rzewną mgliste obłony i zaczynają przeświecać modrawym dnem, kryjącem dobrą nadzieję. Dostają

odcieni sinych i perłowych, kotłują, przesiewają się i opadają ku ziemi zwiotezale i przejrzyste, jak zdmuchnięta gaza. Już dnieje. Powitalnie, wróżebnie jarzy się wschód żarliwą smugą zorzy, a nad nią złotawe chmurki płyną stadem skrzydlatych zwiastunów. Lecą chmurki z wesołym pośpiechem, rosna, różowieją, stroją się w płomienne obramienia. Odbijają w sobie promienisty uśmiech niewidzialnego słońca, opowiadają pognębionej ziemi o wszystkich radościach, jakie ją za chwilę czekają. Niosą najwyższy dar lata — złote szczęście słonecznego dnia.

#### IV. PRZEZ HATOWICZE DO UZŁY WIELKIEJ

Dzień następny rozwiązuje drażliwą sprawę pogody tylko połowicznie. Niebo przestało płakać brudnymi łzami, ale wciąż jeszcze kaprysi i nie chce roześmiać się uczciwym słońcem: skąpi nawet przelotnych rozjaśnień i spogląda tępo i chmurnie, jak oblicze sekwestratora. My do obiadu udajemy niezachwianą wiarę w rzetelność barometru, ale popołudniu popadamy w zwątpienie. Jednakże wkońcu popielate niebo nasiąka leciuchną barwnością, a matowa zieleń krajobrazu zaczyna nabierać tonów jaśniejszych i czystszych. Nie patrząc na niebo czuje się jego dyskretne rozświetlenie. Może nie będzie tak źle... Z lepszą otuchą wyruszamy w dalszą podróż do schroniska w Uźle Wielkiej i oczywiście, znowu nie autobusem, tylko furmanką.

Nie żałujemy tego. Zawrotna szybkość pięciu kilometrów na godzinę nie wróży wprawdzie prędkiego przybycia na miejsce, ale zato pozwala rozglądać się uważnie po okolicy i ocenić jej niezwykłą topografię. Trudno napatrzeć się dowoli widokiem tej prześlicznej drogi, utrzymującej wzrok w nieustannym napięciu. Dwie mile jazdy samym brzegiem jeziora, oglądanego z przeróżnych poziomów, wzniesień i spadków, z najbardziej nieoczekiwanych punktów widzenia mijają niepostrzeżenie, czarując zmiennością filmowego widowiska. Czegoż bo tam niema! Niespodzianki nagłych zakrętów, oszołomienia stromych zjazdów na złamanie karku, dekoracje kędzierzawych przysad i gobelinowych obramień drzewnych, brunatne paciorki wiosek, rozsypanych od niechcenia po nadbrzeżnych stokach, pochylnie sianokosów i pastwisk, schodzących razem z krowami do wodopojów... A wszystko związane wstęgą drogi po malarsku wybrednej, wyszukującej i podkreślającej najwdzięczniejsze motywy, wszystko zrosnięte z ogromnym rozlewiskiem jeziora, które w tym zespole pejzażowym gra wciąż melodję naczelną i dominuje potężnym basowym akordem. Dokoła Naroczy wszystko się obraca i ześrodkowuje w tej wodnej krainie. Narocz, mająca w swej nazwie coś urocznego i uroczy-

stego, coś ze starosłowiańskich „roków” i „godów”, jest tu panią jedyną i wszechobecną. Wiąza się z nią nierozdzielnie niebo, ziemia i człowiek, każde drzewo wybrzeża, każda chata rybacka, każda gruda gleby i każdy kamień przydrożny. A jeśli droga czasem zboczy od jeziora włąb brzegowego łądu, jeśli je skryją wydęcia pagórów, zasłony drzew lub nisko żłobione łożysko drogi, to tylko na krótką chwilę, po której Narocz powraca znowu i ukazuje się w całym swoim błękitnym i szumnym majestacie.

Oto skrót telegraficzny obrazu tego dwumilowego szlaku, prowadzącego od Kupy przez Symony, Czerewki, Podrezy, Pasynki, Ostrów, Mikolce i Hatowicze do Uźły Wielkiej. Na dziesiątkach stron można by się rozkoszować jego rozpamiętywaniem i jeszcze nie wyczerpać tematu, nieobjętego, jak samo jezioro.

Trudno się od tego szlaku oderwać. Zatrzymajmy się mimochodem przynajmniej w Ostrowiu, w tem niesamowitem siedlisku przyrodzonego piękna i ludzkiego niszczycielstwa. Wstęp do niego stanowi niedaleko położona wyspa, jedyna wyspa na Naroczy, owo wąskie pasmo łądowe, wydłużone w kształt olbrzymiej ryby—piły i kierujące na wschód swoją ostrą iglicę. Sterczy na niej kilka przeraźliwie smutnych sosen, których sylwety ciemnieją na tle wielkiej wody sztandarami żałoby i opuszczenia. Ale nie ta wyspa nazywa się Ostrowiem, jakby można było oczekiwać, tylko nadbrzeżny górzysty zakątek, gęsto zadrzewiony i ukryty w głębi zatoki. Już przy dojeździe do niego zdumiewa dziwnie pogmatwany układ terenu, jakby ilustrujący jakieś zmagania z epoki pradawnych dziejów ziemi. Droga wciska się pomiędzy jezioro, a stromą górę, rozpękaną szczelinami wojennych okopów, skąd otwiera się widok na wdzięczną zatokę, okoloną starymi wierzbami. W głębi tłoczy się aleja sędziwych drzew, zagłuszona dorostem krzewów i przechodząca w bezkształtny gąszcz zarośli, a na jezioro wychodzą cyplami garbate odnogi i wydłużone kurhany i leżą na wodzie, czarne, obłe i głowiaste, jak uspięne wieloryby. Z pagórka droga spada znięcka w zaciszną kotlinę i staje pośrodku iście romantycznego obrazu. Długoramienne, wierzby obstepują krągłą zatokę i lubują się własnym odbiciem w spokojnej toni, dokąd już nie dochodzi wzburzona fala. Dokoła cicho i pusto, nie widać żadnych śladów ludzkiego istnienia. Ale ponad zdziwiałem rozkrzewieniem podszycia rząd jesionów strzępi wysokie drobno-listne korony i zastanawia przechodnia jakąś drażniącą zagadkowością. Skąd one tu się wzięły? Nie wyrastają przecież dziko drzewa tak piękne, tak ozdobnie rozłożone—musiała je chyba nie-

gdys posadzić troskliwa ręka, musiały je tu wypieścić oczy rozumne i czujące? Jak obramienie flamandzkiego arasu rozwidlają się stylizowane konary jesionów i koronkowym deseniem listowia kładą się na modrej osnowie nieba. Od tych jesionów idzie jakiś przyjazny powiew, jakieś serdeczne echo starych opowieści, jakaś stłumiona, niedopowiedziana skarga. Pominie te nikłe odgłosy roztargniony wzrok przybysza, goniącego za chwilową rozrywką, ale nie ujdą one czujności tego, kto zna mowę drzew, a z rzeźby ziemi umie wyczytać jej radości i cierpienia. Inaczej przemawiają dzikie drzewa lasu, a inaczej te, które posadzi człowiek we własnym, umiłowanym gnieździe. Tę różnicę czuje się nie tylko w gatunkach drzew, ale w ich formach, skupieniu i układzie i z biednych ocalałych resztek odtwarza się treść i wygląd zniszczonej całości. Jest to jakgdyby odszukiwanie znajomych i kochanych rysów na zmienionej twarzy zmarłego.

To też wystarczy, by uważny przechodzień wszedł na drugą sąsiednią górę\*) z rumowiskami kapliczki, ocienionej brzozi, a wnet rozwiąże zagadkę Ostrowia. To wszystko dokoła nie jest leśnym pustkowiem,—to stary, piękny dwór, zniszczony do niepoznania w ostatniej wojnie i nie mogący się już podźwignąć ze swej klęski. Dwór, który dziś szczyrzy ku niebu grozę swego spustoszenia, nieco zabliznioną zielonym rozrostem kojącego czasu, a który niedawno jeszcze, żywy i pełny godnego ładu, odbijał swe dostojne piękno w zwierciadle błękitnej zatoki...

Z tą chwilą pojmuje się dlaczego tu tak przedziwnie swojsko, a tak bezdennie smutno, dlaczego serce ściska się ciemnym bólem, a jednocześnie bije oddźwiękiem ciepłym i słodkim, jak przy spotkaniu kogoś bardzo blizkiego, kogoś dawno niewidzianego...

Straszliwie wymowne są jesiony Ostrowskiego dworu: przemocą zatrzymują wędrowca i każą mu zadumać się długo i ciężko nad ich minioną świetnością...

Ku wieczorowi niebo wypogadza się zupełnie i przydaje drodze nowego uroku. Świat płonie się łuną gorącą i barwną, jak wstydlivy uśmiech przeczuwanej rozkoszy, a gładkie jezioro staje się polerowaną taflą lustrzaną, w którym glorja zachodu odbija się różowym marzeniem. Nastaje osobliwa chwila wieczornego smętku.

\*) Pierwsza góra nazywa się „Kukuliszcze“, druga—„Bocianicha“.

Jesteśmy w Hatowiczach, już niedaleko od celu podróży. Przed nami na pagórku wznosi się cmentarny gaj. Szkarłatnym nalotem rdzawi się jego aksamitna murawa i przeczystym zielonym skłonem dotyka jeziora. Nad darniowymi mogiłami, na tle rozpalonego nieba, pochylają się sosny i krzyże. Ramieniste krzyże spierają się i tłoczą, jak gdyby dźwigały w mozolnym pochodzie wszystkie troski tych, co tu spoczywają pod ich osłoną. Smukłym portykiem wywyższa się nad krzyżami kolumnada sosen i duma w wieczornem uciszeniu. Krzyże tulą się do pni i szukają w nich ostoi dla swej niedołęznej starości. A sosny ścielą zgarbione, wiatrem przygięte rosochy i zdają się sunąć wraz z krzyżowym pochodem, wsłuchane w pogwary wiekowego smętarza \*) Czarno i żałobnie rysują się w zachodniej czerwieni pielgrzymie szeregi, idą w schyłkowym utrudzeniu żywota i patrzą, rychło—li spłynie noc—wybawicielka. Za nimi niebo rozplomienia się wszystkimi ponętami złocistego szczęścia i purpurowego majestatu, ale mroczne są ich schylone postacie, podane w cień nocy, obce słodkiemu smętkowi zorzy wieczornej.

Smętek jest głęboki, ale łagodny i ukojny, pełny wnętrznego zamyślenia. Smętek przepaja powietrze śpiwnem szeptaniem sennych konarów, poprzez mogilne kurhany wiedzie w podcienia gaju, każe myślom błądzić po cmentarnej samotni, gdzie pamięć zgasłych istnień splata się z chwałą znikłego słońca w akord wiecznej harmonji. Zachód płonie, sosny i krzyże czernieją stłozoną gromadą, smętek różanym całunem nakrywa świat. Pochylnym głowom niebo i ziemia dzwonią na Anioł Pański...

Już ściemnia się. Zmierzch przygasił łunę i stonował jezioro, otulając dal liljową krępą. Mroczy się pogodne niebo, oczyszczone z chmur. Tylko jeden zapóźniony obłok został na niebie i świeci tak mocno i barwnie, jakgdyby nasiąknął wszystką jasnością zgasłego słońca. Śnieżnobiały, wyokrąglony w stromą lodową górę, rozżarza się u szczytu jaskrawą czerwienią i ognistym kłębowiskiem wybucha ku zenitowi. W ściemniałem przestworzu woła ostatnim krzykiem konającego zachodu, posępnem dymno-krwawem widmem przegląda się i dwoi w zmierzchłej siności wód. Zlały się krańce widnokregu, zmętniały kształty i barwy wszechrzeczy — tylko ta jedna samotna chmura broczy niebo czerwoną posoką i stokrotnie powtarza niezmierny smętek Hatowickiego mogilnika...

\*) Cmentarz po staropolsku—„smętarz“, czyli przybytek smętku.

Wśród zapadłej nocy powracamy do rzeczywistości i niebawem stajemy w schronisku na Uźle Wielkiej. Dwór tej nazwy jest gdzieś dalej, a schronisko rozłożyło się w lesie na brzegu jeziora. Okna jego w ciemności zachęcająco przeświecają między drzewami; znużeni wrażeniami i podróżą, myślimy chętnie o zasłużonym wypoczynku. Stwierdzamy z zadowoleniem, że budynek jest duży i wygodny, urządzony z pewnym nawet komfortem: widna sala jadalna olśniewa jarzącym światłem i sam wstęp do niej budzi już w nocnych włóczęgach poczucie własnego dostojenia. Ale radość trwa krótko: dowiadujemy się, że dla turystów niema tu wogóle miejsca; schronisko przeistoczyło się od roku w pensjonat dla stałych letników, wszystkie pokoje są zajęte, o noclegu w pawilonie ani marzyć. Chyba tylko—w sali turystycznej, gdzie są wolne miejsca. Panowie—to niby my—zechcą się udać do sali turystycznej.

Twarze znów się nam wyjaśniają. Dobrze i tak. Nie obstajemy przecież przy pawilonie, może być i inna nazwa budynku, byle z przyzwoitym noclegiem. Niechże będzie sala — to nawet brzmi wytworniej. Ale może tam nie wypada bez krokodylich neserów i jedwabnych piżam?... No, jakoś tam będzie. Z walizkami w garści, a otuchą w sercu, opuszczamy utracony raj i zanurzamy się z punktu w las ciemny, jak sumienie komornika. Prowadzą nas marudnie po jakichś błotnistych zaroślach, gdzie każde drzewo wydaje się upiorem, grożącym kościstymi puszczkami, mijamy jakieś prywatne zabudowania, które należą podług objaśnień służącego, do nabywcy całego lasu. Od tego kupca wynajmuje zarząd salę turystyczną, do której zmierzamy pracowicie i z nierychliwym skutkiem. W świetle tej informacji brak jedwabnych piżam przestaje nas niepokoić. Wchodzimy wreszcie do drewnianej szopy, równie obszernej, jak pustej i w ubogim pełganiu naftowej „śmierdziuszki” dostrzegamy większą ilość żelaznych łóżek i znacznie mniejszą—sienników. To jest całe umeblowanie „sali turystycznej”. Kropka. Dobranoc. Służący wychodzi.

W skąpem oświetleniu nie widać naszej długiej miny, lecz nie inną musiał mieć praojciec Adam, gdy go anioł mieczonośny wyprawił z raju za zbyt gorliwe studia botaniczne nad figowym listkiem Ewy. Ale trudno—i tak będziemy spali do samego rana. Niema wprawdzie ani kawałka stoła lub stołka, by rozłożyć rzeczy, niema nawet gwoźdźnia w ścianie, by je powiesić, a za to powietrze jest stęchłe i wilgotne, jak w piwnicy, ale bądźco bądź, jesteśmy nad Naroczą i pogoda na jutro pewna, a to grunt. Roz-

gaszczamy się, jak możemy i niebawem smaczno zasypiamy. Smaczno, lecz nakrótka. Budzi nas gwałtowny gwar i hałas. Nasłuchujemy zdziwieni. Czyżby nasza „sala” była zaopatrzona także w bar i dancing? Wesoly śpiew miesza się z apetycznym brzękiem szkła, fałszywe soprany brzmią w zgodnej kakofonii z ochrypłymi tenorami. A może to szkoła muzyczna? Ale podkasana treść piosenki świadczy o całkowitym braku tendencji pedagogicznych, a wszystko dzieje się tuż obok za ścianą, nieledwie nad naszymi głowami. O boski Morfeuszu, spróbuj sam zasnąć z takim kabaretem w łóżku, bo my nie potrafimy!

Tymczasem temperatura zabawy dochodzi do stopnia wrzenia. Buda drży w posadach, nawet nasze łóżka zaczynają podrygiwać wesoło i tanecznie. Spoglądamy na siebie zakłopotani, a któryś ze szlafkamratów próbuje łagodnie mitygować przez ścianę rozochoczoną kompanję. Serdecznie, po macierzyńsku nakłania ją do lubego spoczynku, nieśmiało wyznaje, jak bardzo i my go pragniemy. Ale tę skromną propozycję spotyka chóralny ryk śmiechu i grad soczystych epitetów nad naszym zupełnie dokładnym adresem; energiczne piąstki atakują drewnianą osłonę naszej niewinności, a rozkosznie piskliwy głosik wyśpiewuje zwrotkę, która otwiera nam oczy na sytuację z zachwycającą trafnością:

Wszystkie rybki śpią w jeziorze...  
Plum, plum, plum, plum, plum...  
A mój stary spać nie może...  
Plum, plum, plum, plum, plum...

Oj tak. Macie słuszość, piękne syreny Naroczańskie. Wasz stary przez całą tę noc nie zmrzył oka, słuchając waszego śpiewu. A zazdroszcząc dawno śpiącym rybkom, wzdychał do dobrego Pana Boga, czemu nie stworzył was tak niememi, jak te rybki, co tam w jeziorze... plum... plum... plum...

## V. ZŁOTY DZIEŃ

Wyiskrzzone słońce południa—korowody przelotnych obłoczków, jaśniejących świąteczną bielą — ogromny, złocisto-modry obszar wód rozkołysanych i szumnych. W podmuchach rzeźkiego wiatru wzbiera Narocz grzywiastymi falami i hucznym przyplwem szturmuje brzegi. Echem dalekich lwich ryków potężnie odychają płuca wielkiej wody. A na wybrzeżu nęcą wzrok zielone arkady lasu, pełnego chłodnych zakątków, słonecznych wyłotów i mszystych kobierców, utkanych ze złotej, srebrnej i miedzianej przędzy. Las jarzy się kolorową mozaiką światłocienia, wabi głosem nieprzepartej ponęty: niepodobna nie zagłębić się w jego malachitową gęstwinę.

Chodźmy do lasu. Słońce gorąco i strzeliście wnika skroś drzew, rozsypuje się po krzakach migotliwymi, ostremi błyskami, miękkim, pięściwym cieniem maluje podszycia. Dzień jest ciemnoszafirowy, nie mający w sobie nic z turkusowej bladości lniających kwiatków północy. Niebo między sosnami wzbiera tak mocnym i głębokim tonem, że aż zdumiewa i mroczy. Te płaty niebieskiego stropu wydają się barwnymi zjawami o samoistnym bycie; kołyszą się ponad szczytami drzew chwalebna hosanna i błękitnym cudem spływają na zapatrzone oczy.

Wokoło jest tylko zieleń i błękit, stopione w olśniewający dwugłos słonecznego zestrojania. Zieleń jest świeża, atlasowa, soczysta: szmaragdowym rozsypiskiem pyszni się na otwartych polanach, a w gąszczy matowieje i stęży się w granatowy półcień. Błękit jest przezczysty i bezdenny: patrzy zwysoka z surową powagą boskiej źrenicy. Zieleń lasu technie blizkim i swojskim urokiem—błękit nieba rozprzestrzenia się nad nią dalekim majestatem zaświatów. Zieleń raduje i tuli przyziemnym uściskiem rozkoszy—błękit rzuca na kolana, pogrąża w korne zachwycenie i wzywa w niebiosy... Ale wnet promienista mądrość słońca łagodzi tę rozterkę i zsyła dar szczęsnego zjednoczenia z całym światem, łaskę jednej chwili, trwającej wieczność. Chwila taka

jest najwyższem dobrem życia, jego nagrodą i uwieńczeniem. A kiedy przeminie, chowa się skrętnie i nabożnie te relikwie wspomnień, by je wydostawać ku pokrzepieniu ducha czasu zimowych mroków i chłodów...

Ale w tej chwili wszystko nad brzegiem łśni, szumi, i śpiewa, a w tej pieśni barw i blasków Narocz ma swój głos odrębny i niepośledni. I ona przyzywa ku sobie hucznie i władnie, jak piękna, wspaniała królowa, nie znająca sprzeciwu. Łódka zachęcająco pluska i chybotą na uwięzi, a przed oczami rozściela się iskrząca wodna dal z mglistą, ledwie widną smugą drugiego brzegu. Wszystkie tony nieba i ziemi są świeże, czyste i głębokie, harmonijnie zestrojone przez słońce; wszystkie barwy jasne, wdzięczne i radosne. Niewymownem uniesieniem przejmują one duszę, a rozmachy wioseł prowadzą łódkę coraz dalej od brzegu w bezgranicze jeziora, na spotkanie jakiejś przeczuwanej szczęśliwości. Maleje i niknie porzucone wybrzeże z leśnem dziwowskiem; wokoło, jak sięgnąć okiem, pienista, rozhukana, fala, szumiąca groźną pięknnością. Drobną i wątlą jest łódź wobec jej potęgi. Błyskawicą przemyka poczucie samotnej bezsiły. Co znaczy wiosło i ramię przeciw wodnemu żywiołowi? Ale niebawem przychodzi poddanie, słodka uległość błękitnej władczyni i płynie się dalej na los szczęścia, na słoneczne odkrycia, na lazurkowe objawienia, a białogrzywe iskrzyste fale przelewają się nieskończonym szeregiem i szumią, szumią niemilknącą pieśń mocy i chwały...

Żarliwe słońce rozprasza płocze gonitwy chmur i ucisza wiatr. Zapłynęliśmy w jakieś środkowe obszary nieznanego wodnego świata. Brzegi znikły w sinych oparach, wygładziła się jeziorna toń i zastygła szafirową emalją. Wszystko stało się ciche, modre i świetliste. Gromadnie polatują rybitwy i błyskają śnieżnymi skrzydłami, zataczają w powietrzu łuki jasne a chybkie. Pluskają ryby ognistymi wypryskami i, jak słoneczne kwiaty, wychynięte z lustrzanej topieli, wnet gasną w falowaniu nikłych światłokręgów. Rozsłonecznienie powietrza i wody dosięga szczytu barwnego nasilenia i rozpina wokoło jakiś zaczarowany okrąg świetlany, jakieś kryształowe ściany, wywołane z krainy baśni i dziwu. Dotarliśmy do pogranicza jawy i snu, do najgłębszych tajników jestestwa — do serca jeziora. Płające ogniki rybich podrzutów, jasne chmary mewich igraszek świętują w słonecznej apoteozie uroczne misterjum, rozelśnione djamentowym deszczem. Łódka już nie posuwa się naprzód. Zawieszona między

dwoma ogromami modrej złoćistości stanęła bez ruchu, przywożdzona kamiennem zachwyceniem. Odeszły w niebyt przypomnienia o wszelakich sprawach, które nie są jedyną rzeczywistością: odsłonięciem utajonego oblicza jeziora, pokłonem jego królewskiej urodzie. Otoczyło nas ono swym kręgiem czarownym, zamknęło w osobliwym przybytku cudownego objawienia, w którym trwamy, milczący i olśnieni, nie śmiejąc odetchnąć i przeżywać całą duszą mistyczne obcowanie z błękitnem sercem Naroczy.

## VI. CZERWONY WIECZÓR

Złoty dzień przesycił się własnym przepychem i kłoni się ku schyłkowi. Opite słońcem, brzemiennie jego żarem są wody i chmury, myśli i oczy. Omdlałe myśli przekroczyły zenit wrażliwości i pragną zamknąć się we własnej ciszy. Stłoczone chmury kupią się coraz gromadniej i budzą dreszcz niepokoju. Oto zaciąga niebo wał wzdętych sinych obłoków, świecących od spodu przezrażliwą bielą, jak cielsko olbrzymiego gada. Rozwijają się długie skręty, rozsnuwają się palczaste odnoża, skłębione potwory zagarniają niebo i pochłaniają słońce. Groźny zmierzch powleka wodę stalową oponą o płowych obrzaskach. Wiatr bruździ powierzchnię morą tańczących kółek, które ślizgają się po oleistych garbach fal i przelewają się wydłużonymi plamami przedziwnej zmienności. Otwierają się i zamykają na płynnych grzędach niezliczone zwierciadlane oczy; mrugają, drżą, wirują wszędzie, odbijając w swych soczewkach to napływającą chmurność, to niknący lazur nieba. Omroczyła się jasna twarz jeziora, posępnością wnika w oczy, budzi żal za zgaszonym słońcem.

Ale słońce zwycięża tę napaść. Chmurę przebijają ostrza długopromiennych smug, rozchodzą się pod nią trójkątem śniadego srebra, a w górę strzelają wachlarzem grotów, zagubionych w wysokim błękitnie. Chmura kurczy się, przewala i fioletową ławicą ciężko osiada na zachodzie, odsłaniając niskie, rzęsiście słońce.

Przychodzi pogodne wieczorne uciszenie. Wiatr zległ, fale przestały szumieć i szturmować brzegi nieukojnym refrenem. Białogrzywa Narocza \*) wygląda się w przeczyście zarumienioną szybę, układa się do snu i ulegle rozpościera swą lśniącą gładziznę na przyjęcie słonecznego kochanka. A ten zstępuje ku modrej oblubienicy w całej krasie swej królewskiej purpury. Oto dotyka

\*) Lud okoliczny nie mówi „Narocz“, tylko „Narocza“, wyraźnie dając nazwie jeziora końcówkę żeńską, co zdaje się rozstrzygać autorytatywnie spór o rodzaju Naroczy, prowadzony przez językoznawców przy miejskich biurkach.

już rubieży jej złotego łoża, oto ją całuje pierwszym muśnięciem gorącej pieśczoły, oto schyla nad nią miedzianowłosą koronę, gasi w jej łonie swą ognistość i bezpromienną twarzą pograża się w ogromną rudozłotą oddal zachodu.

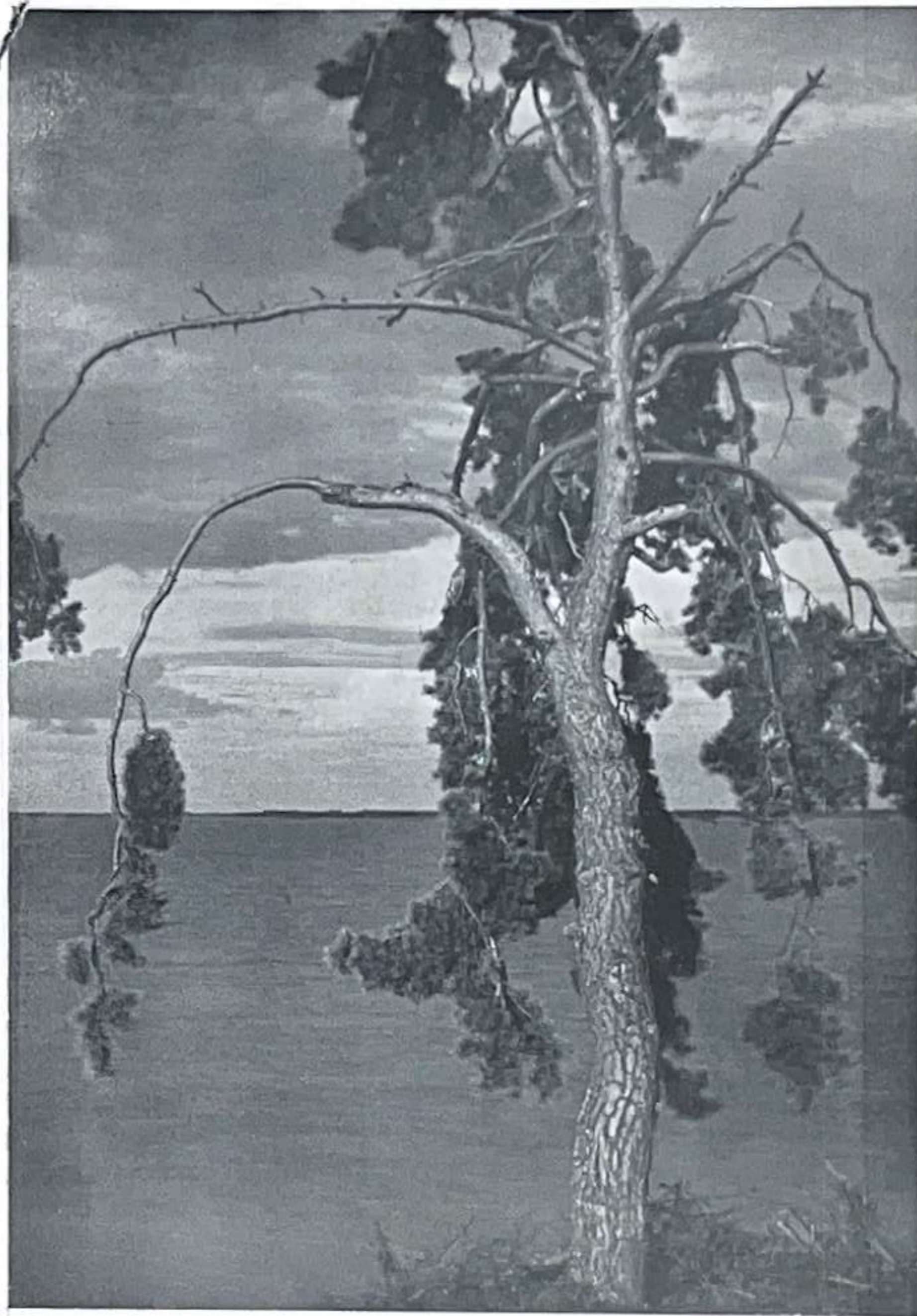
Już znikł na wodzie roziskrzony ślad słonecznego kochanka, ale nie gasną miłosne żary błękitnej oblubienicy. Spłoniona w lubych objęciach, rozpala Narocza triumfalne pochodnie uwieńczonego hymenu i w nadmiarze upojenia obdarza różanym uśmiechem cały niebokrag wieczornej zorzy.

Dopełnił się dzień słonecznej radości — nastaje noc ukojnego dosytu. Ale zanim zmierzch otuli świat granatową gazą, jezioro jeszcze goreje wspomnieniem złotego dnia. Pożarna luna maluje wody i niebiosa i tworzy z nich jedną otchłań barwności, nasiąkłą złocistym szkarłatem, rudym cynobrem, liljowym amarantem, wszystkimi odcieniami płomiennej czerwieni. Niezmierzona moc piękności ogarnia świat, rzuca na klęczki myśli i dusze, purpurowemi schodami prowadzi je w ognistą bramę nieba, by przez nią ukazać nieskończoność...

Nieruchomo stoi łódź, zakotwiczona ciszą. Oczy patrzą wślad za słońcem, umarłem z miłości i nie mogą się oderwać od jego krwawego dramatu. Świat obleka się w milczącą powagę chwili ostatecznej. Na wodzie twardo rysują się trzciny siecią zwiłanych prętów i mierzchnącym odbiciem schodzą w podziemia rumianego rozlewiska. Wielka, święta cisza władnie jeziorem, a w jej zadumie tętnią echa wieczności. Czarnemi sznurami płyną na nocne leże spóźnione ptaki i zapadają za widnokrag, tam, gdzie ziemia i niebo zlały się w jedno płomieniste bezbrzeże.

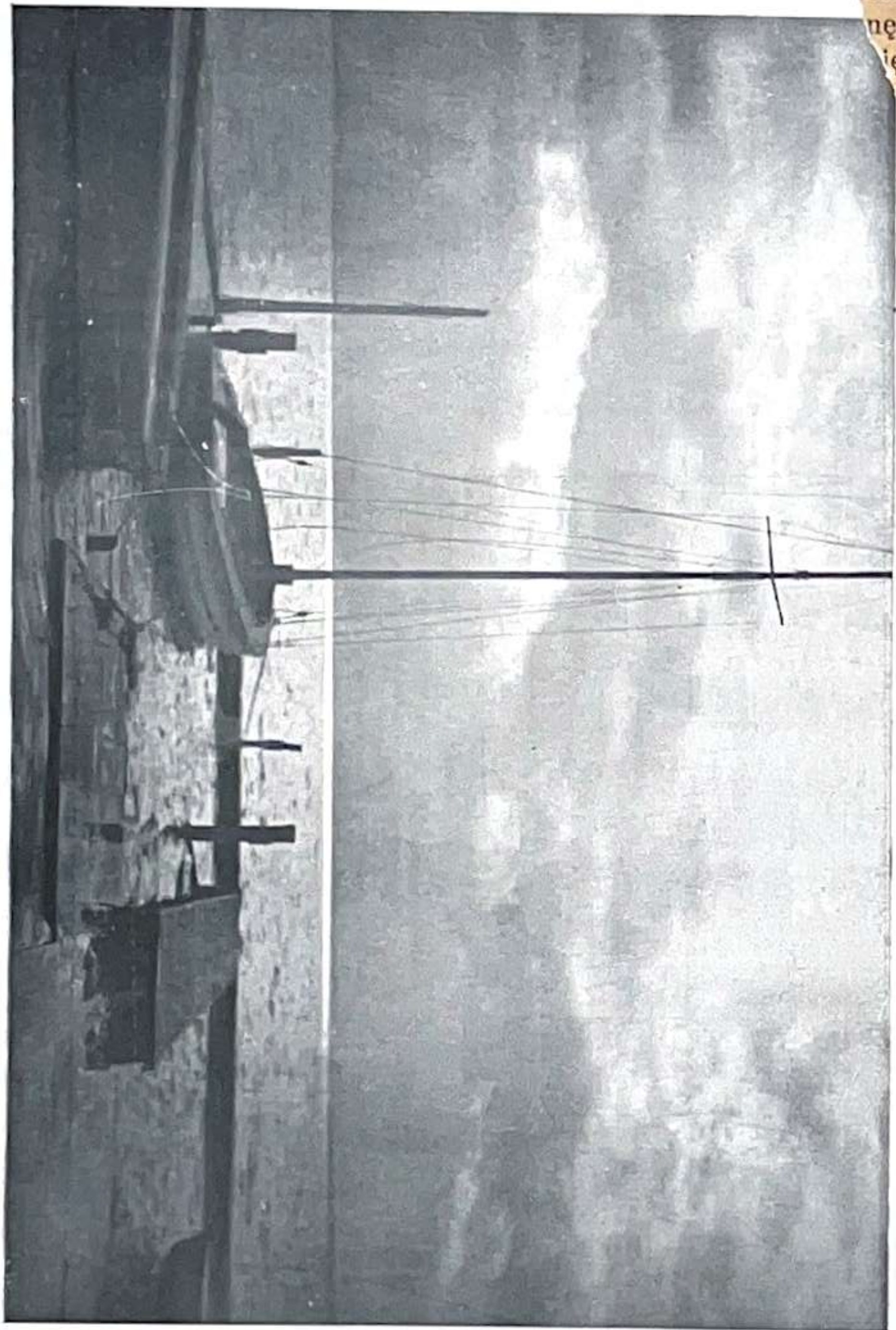
Do tej ogromnej zorzy płyną myśli podniosłe i korne, westchnienia uciszonej duszy, szepty serca, wezbranego tęsknotą — płyną wszystkie w rozwarte wrota zachodu — w nieskończoną dalekość płonącego nieba — jak te błędne ptaki zapadają w bezdenne wodne głębiny...

Bez ruchu tkwi łódź, uwięziona w morzu zakrzepłej czerwieni. Święta cisza owładła jeziorem, a w tej ciszy dzwonią echa zaświatów...



SOSNA (Nieslucz)

PRZED BURZĄ — Przystań Schroniska Szkolnego

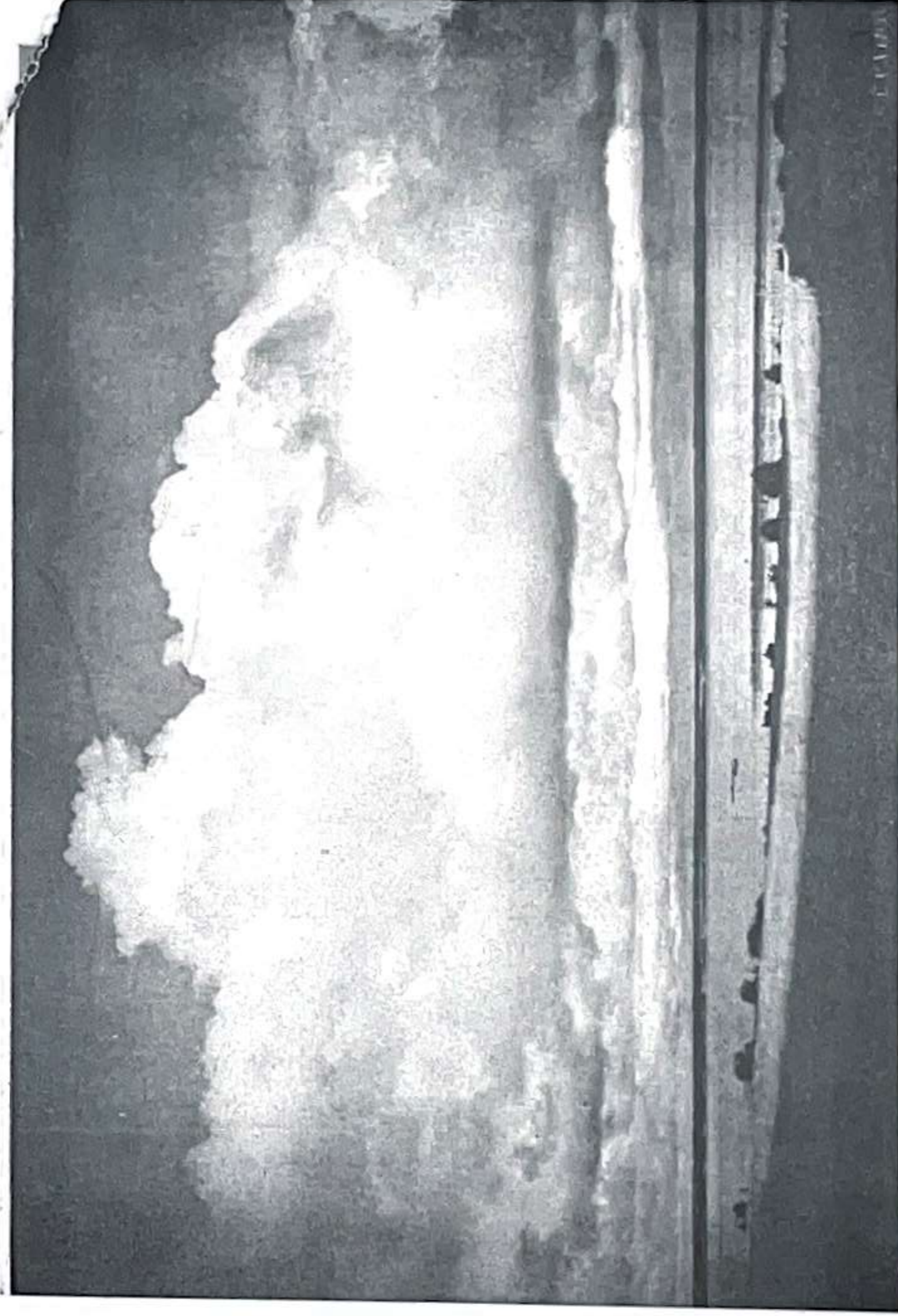
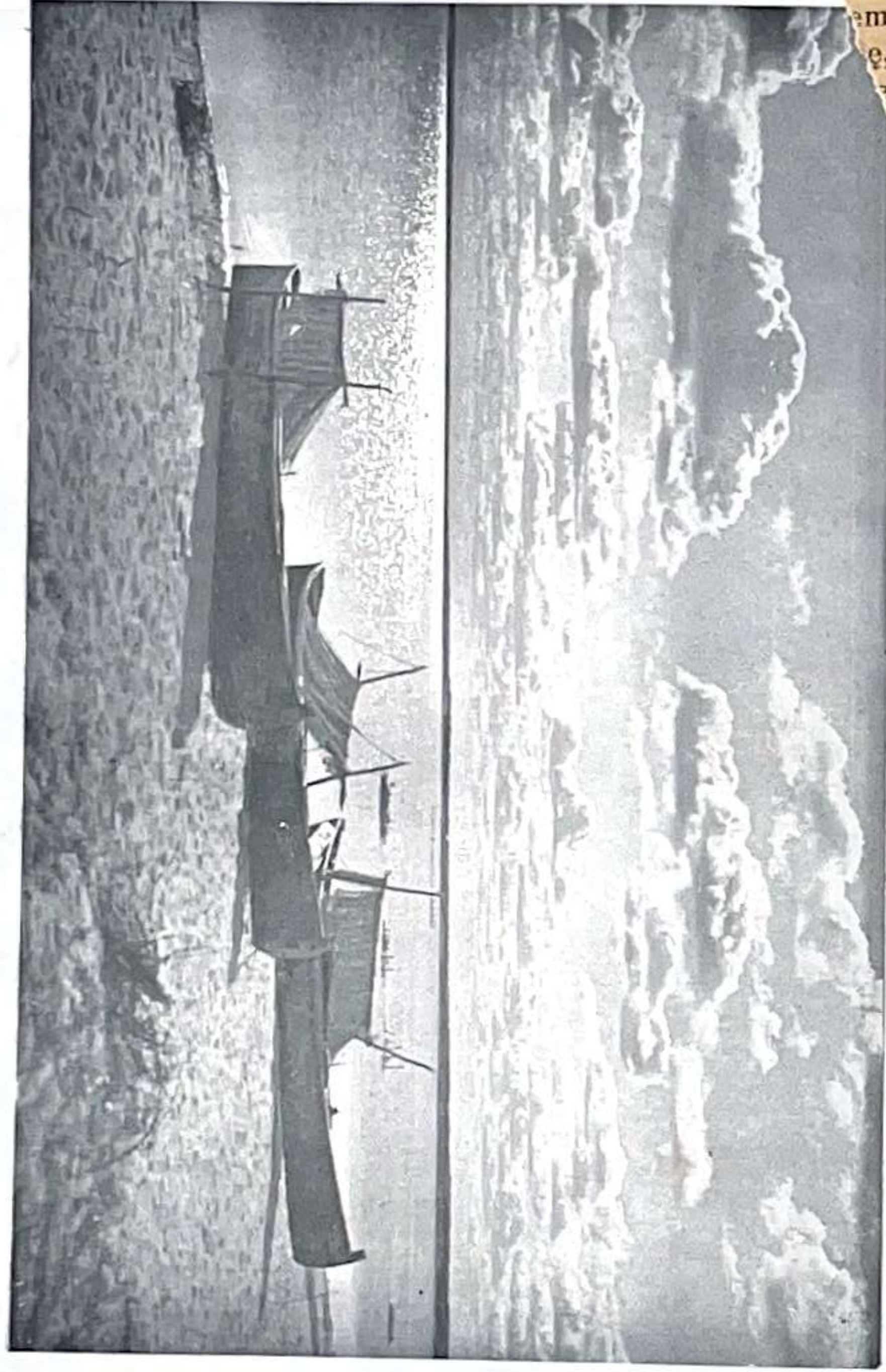


ciem  
ne,  
ie

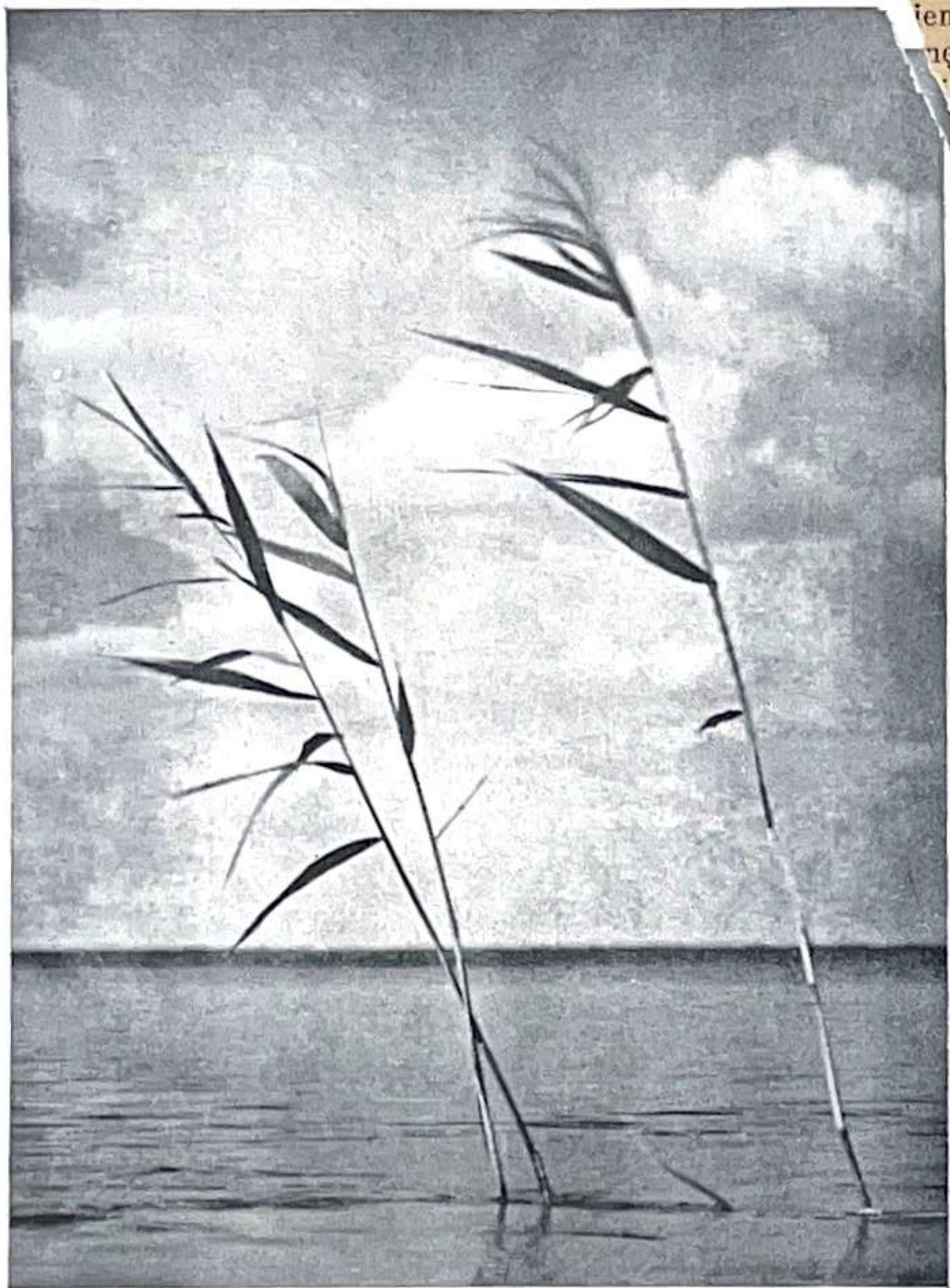


DWA OGROMY

SREBRO NAROCZAŃSKIE



V  
OBLOK

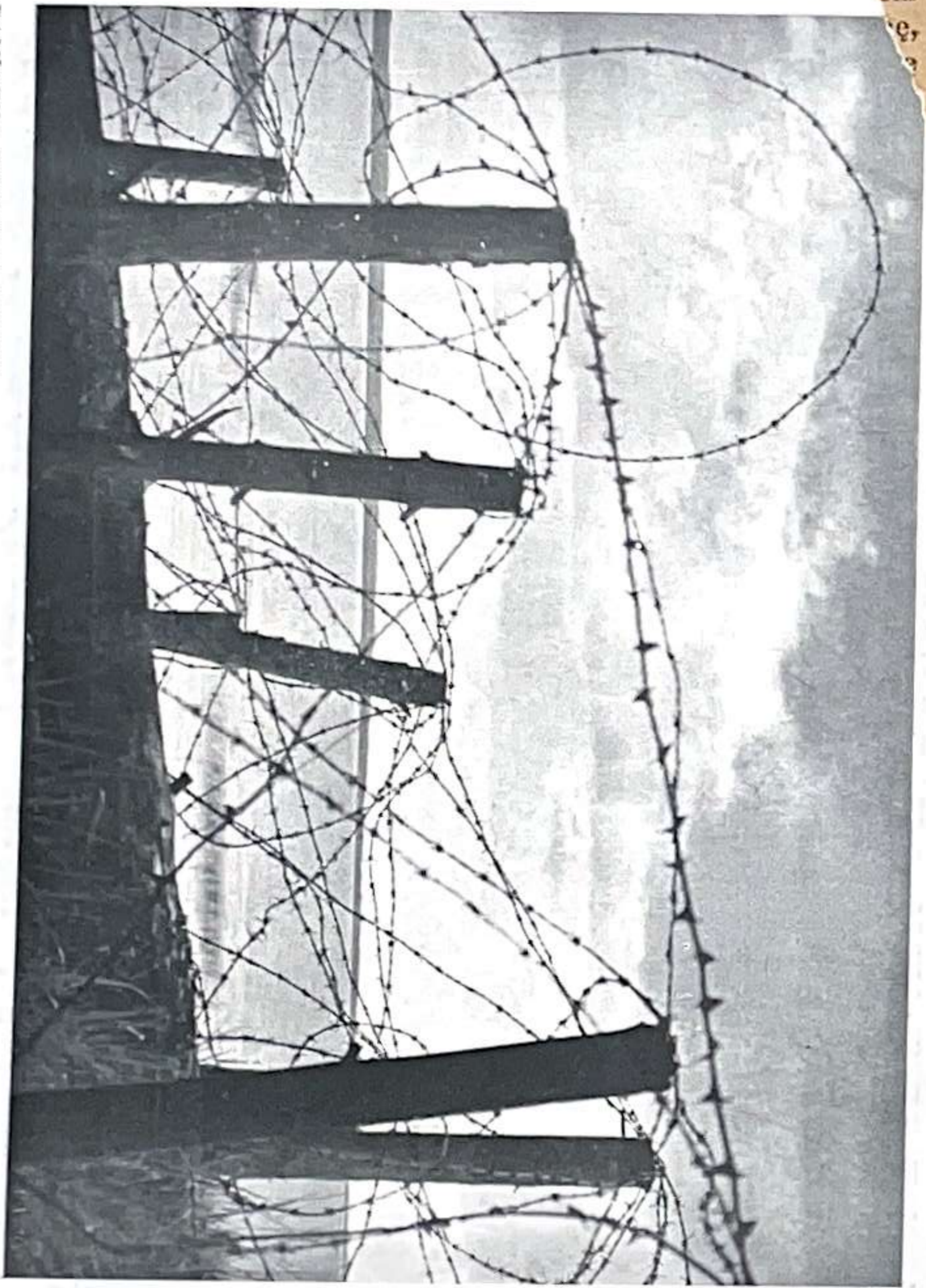


VI TRZCINY

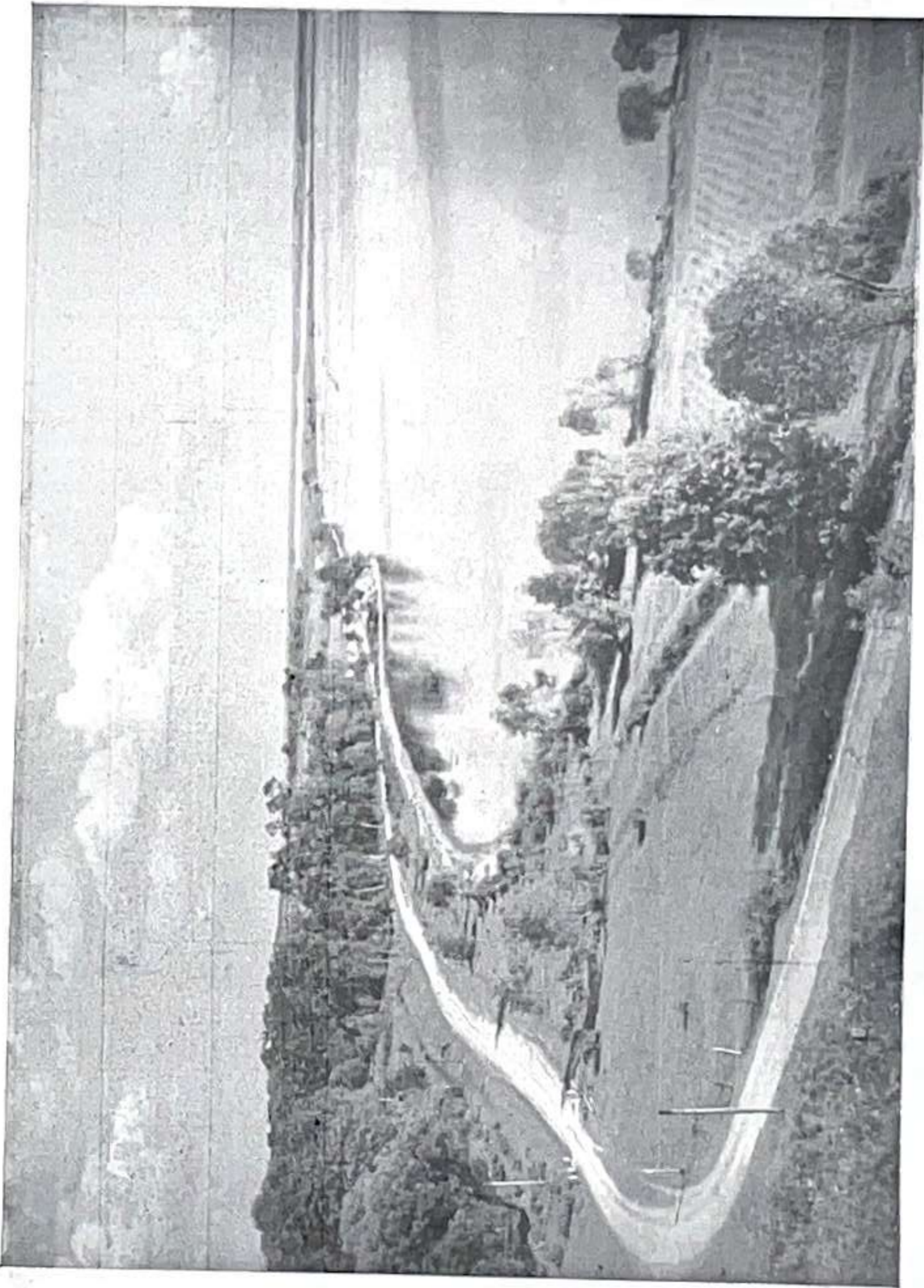


WODOPÓJ

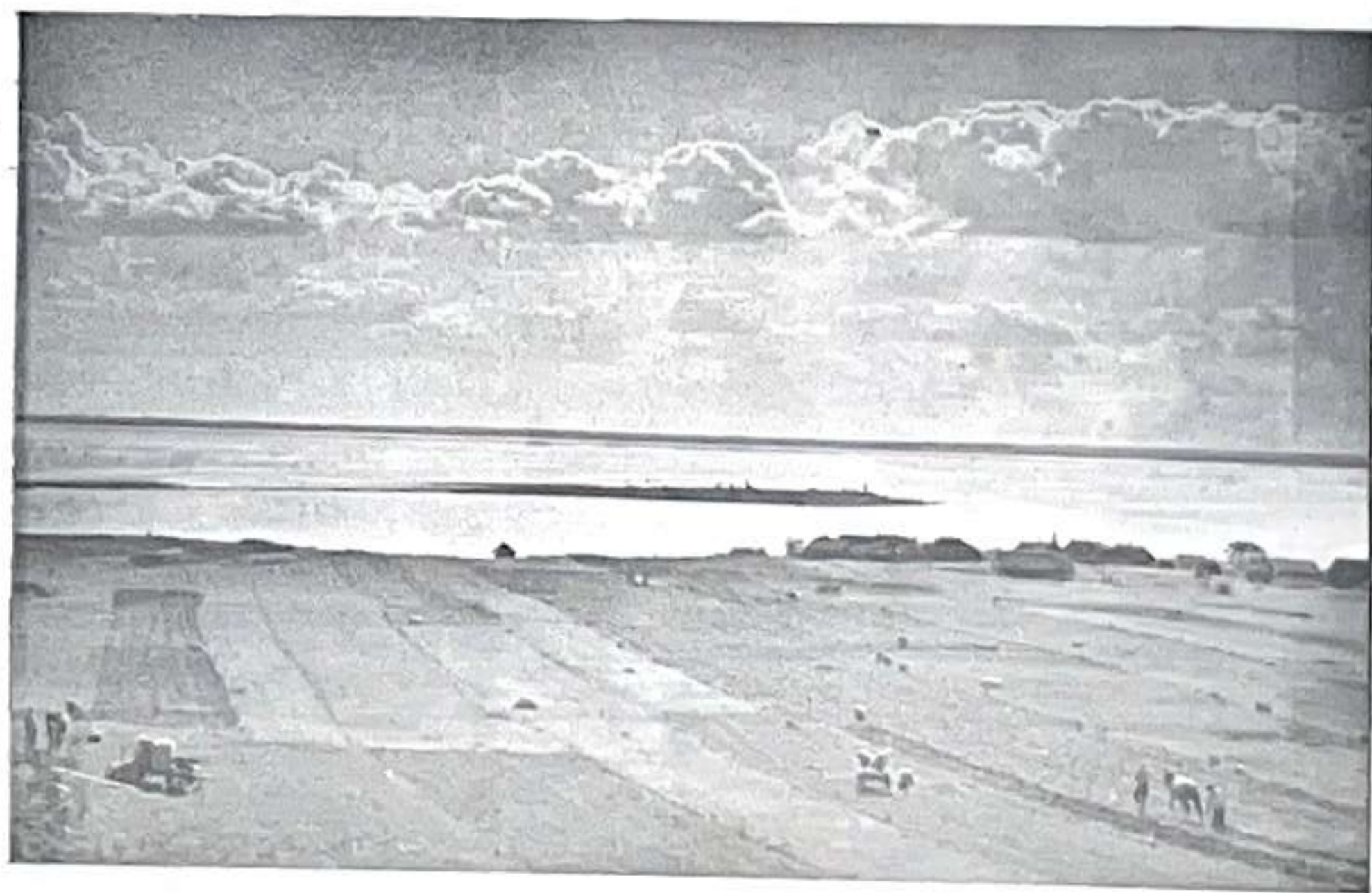
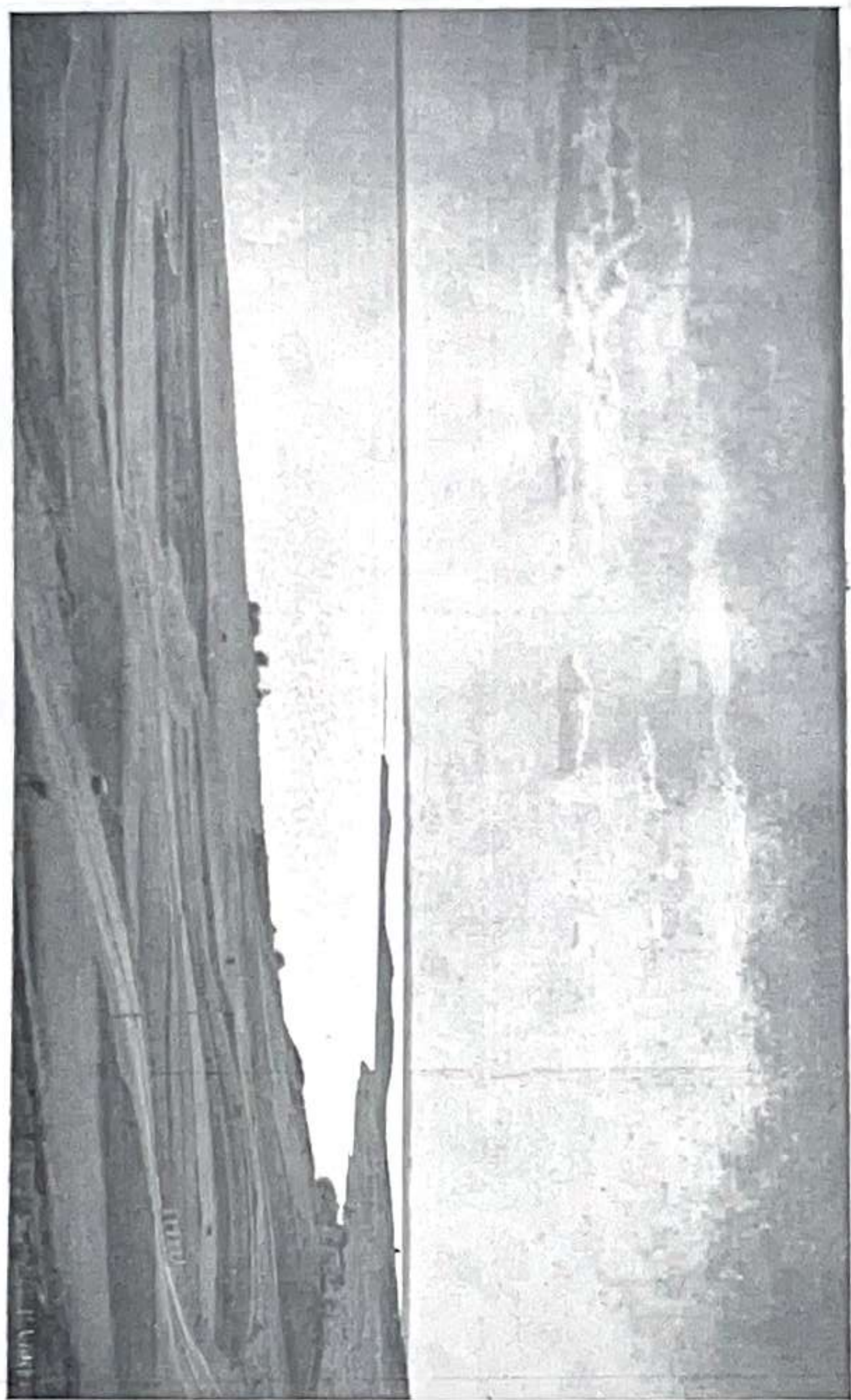
VII



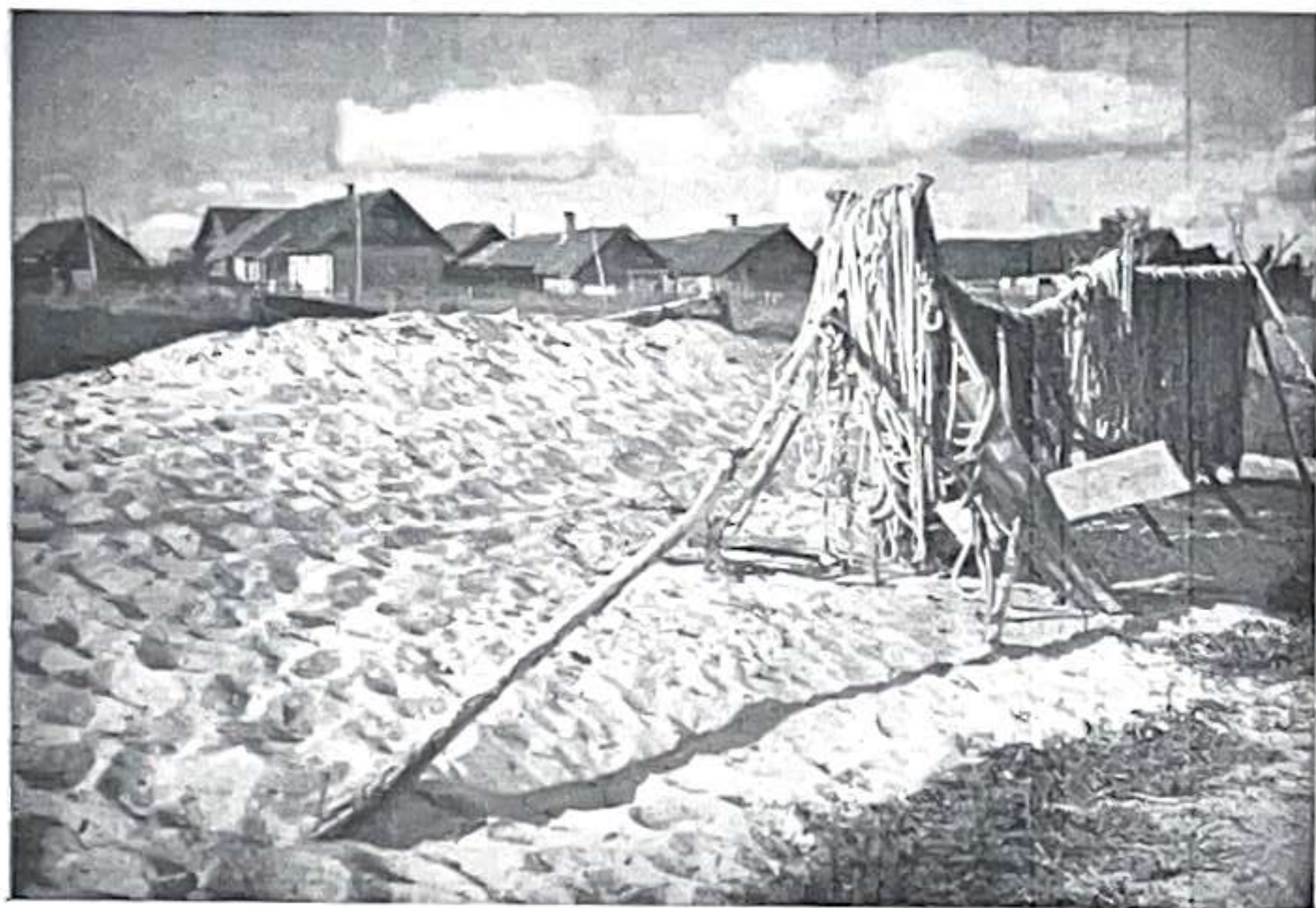
em  
e,  
e



WSTĘGA (OSTRÓW)



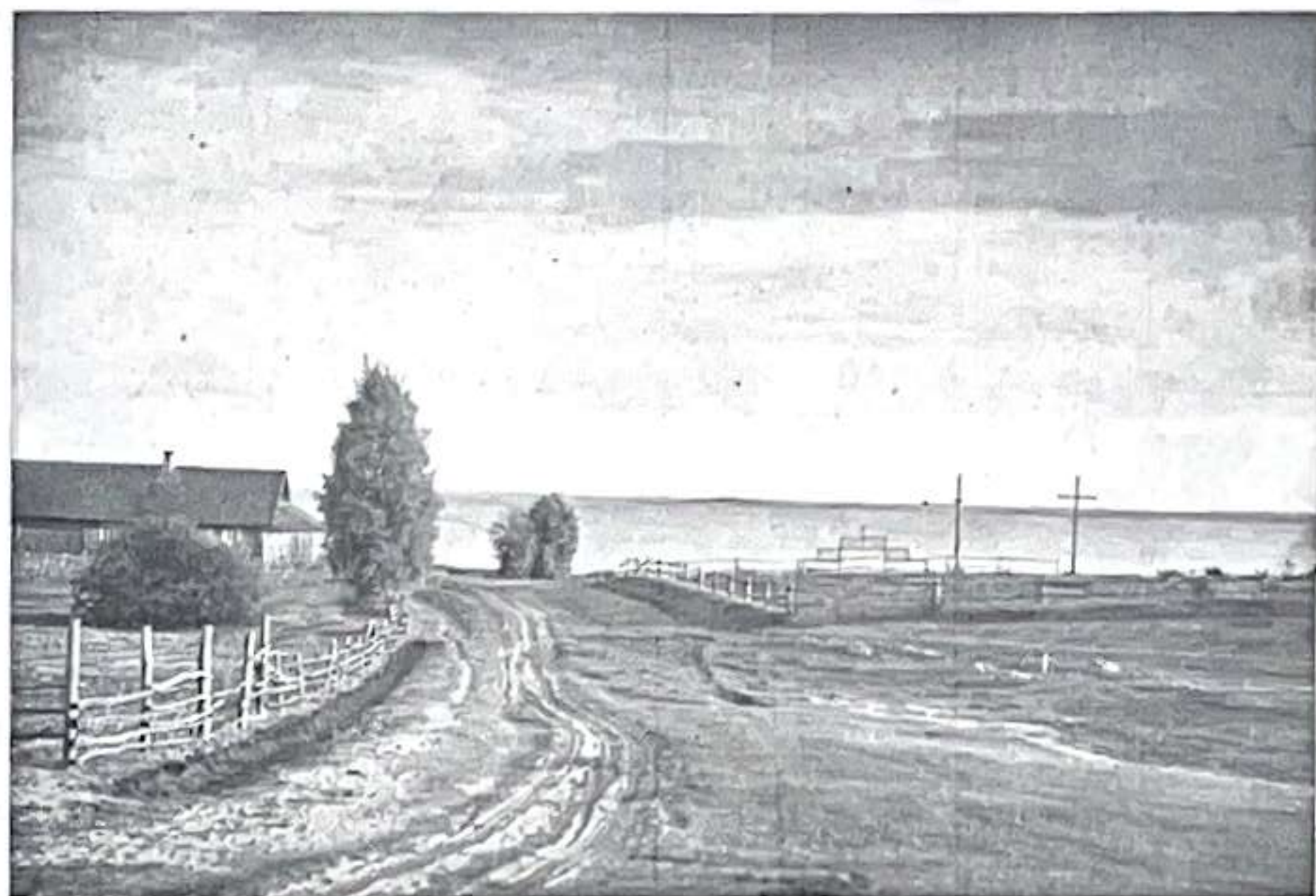
JESIONY W OSTROWIU



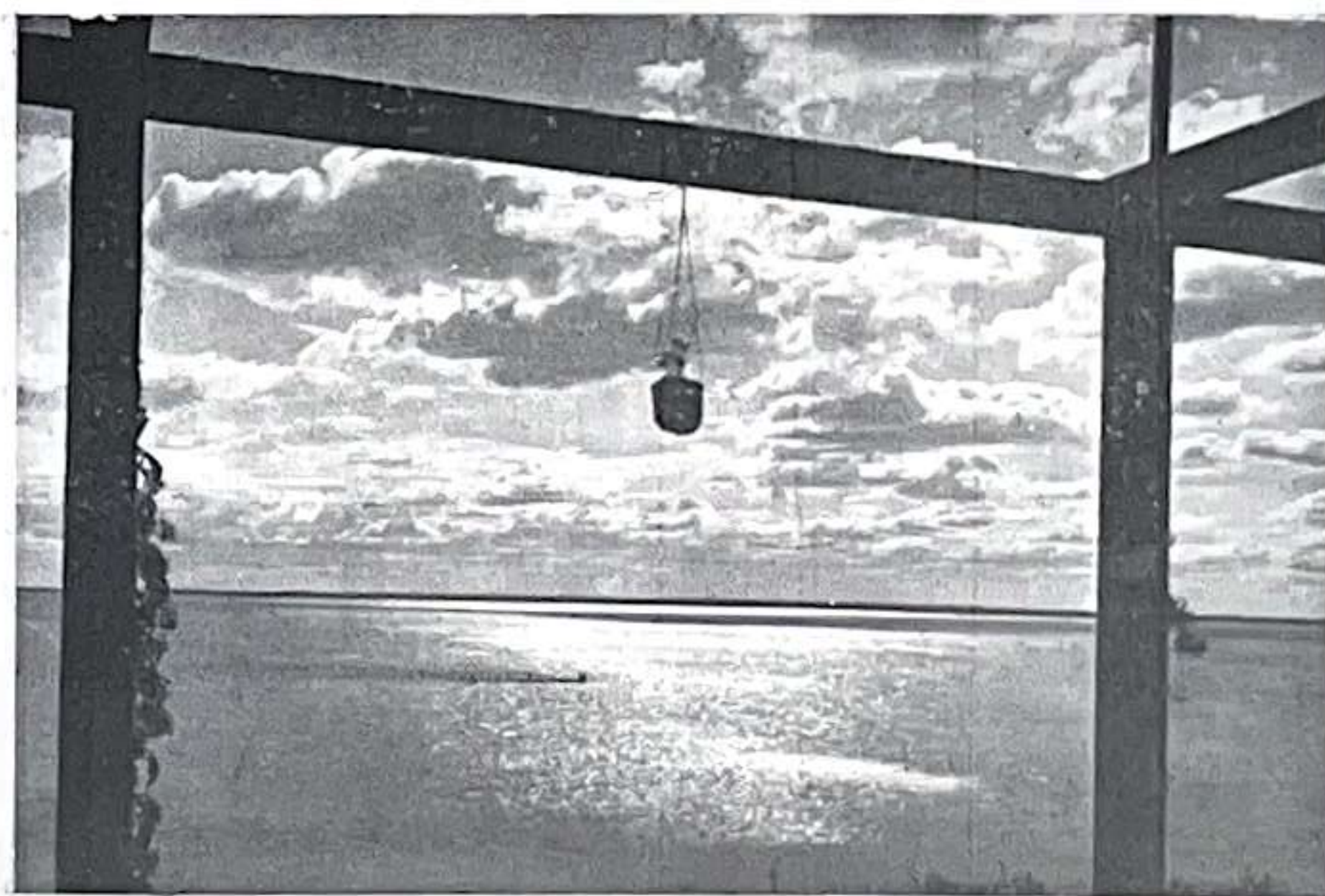
WAŁ PIASZCZYSTY UTWORZONY PRZEZ FALE — NANOSY



XII PIASEK I WODA



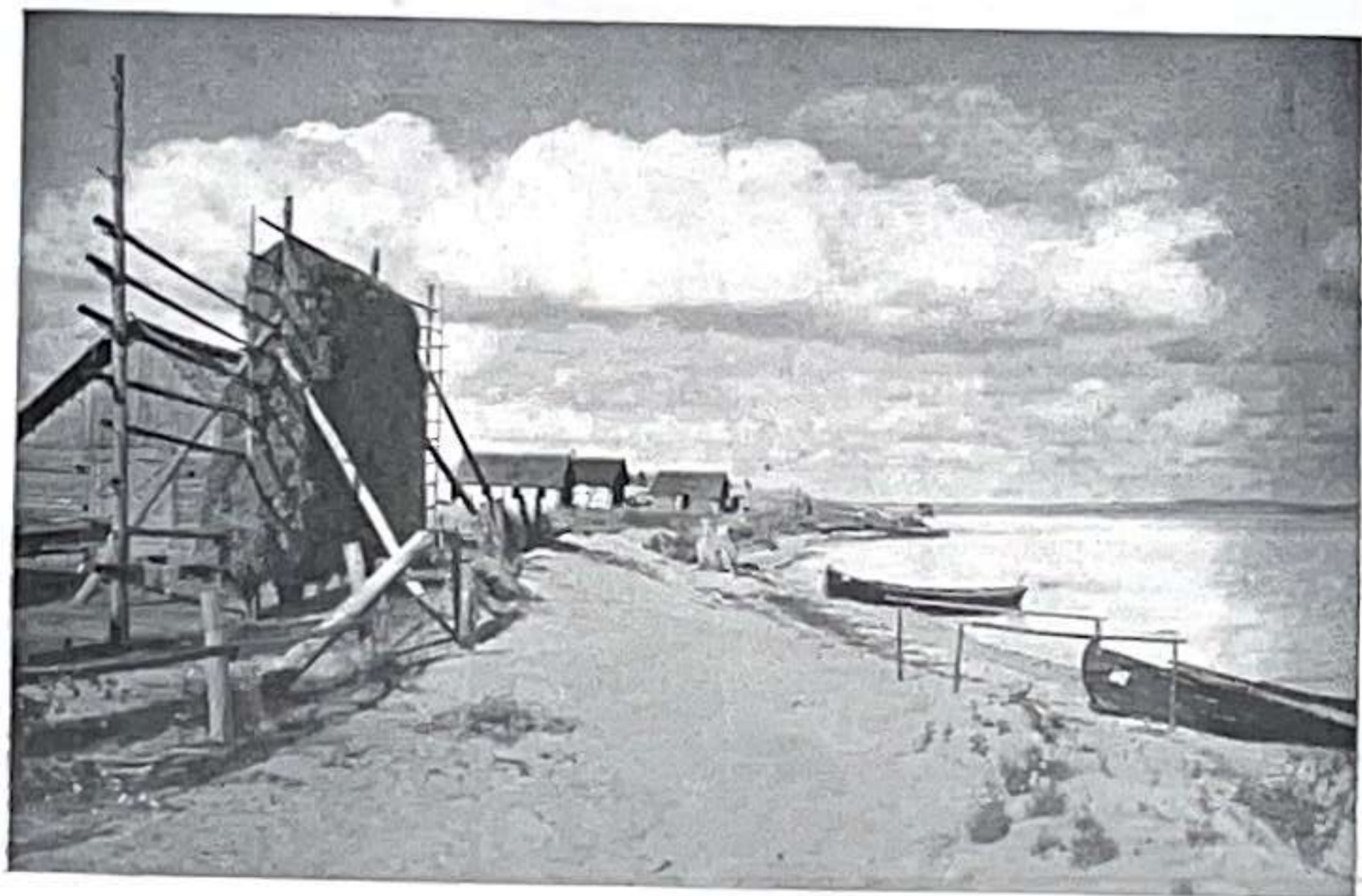
PIERWSZY WIDOK NA JEZIORO ZE WSI KUPY



DROGA SŁONECZNA. Schronisko Szkolne



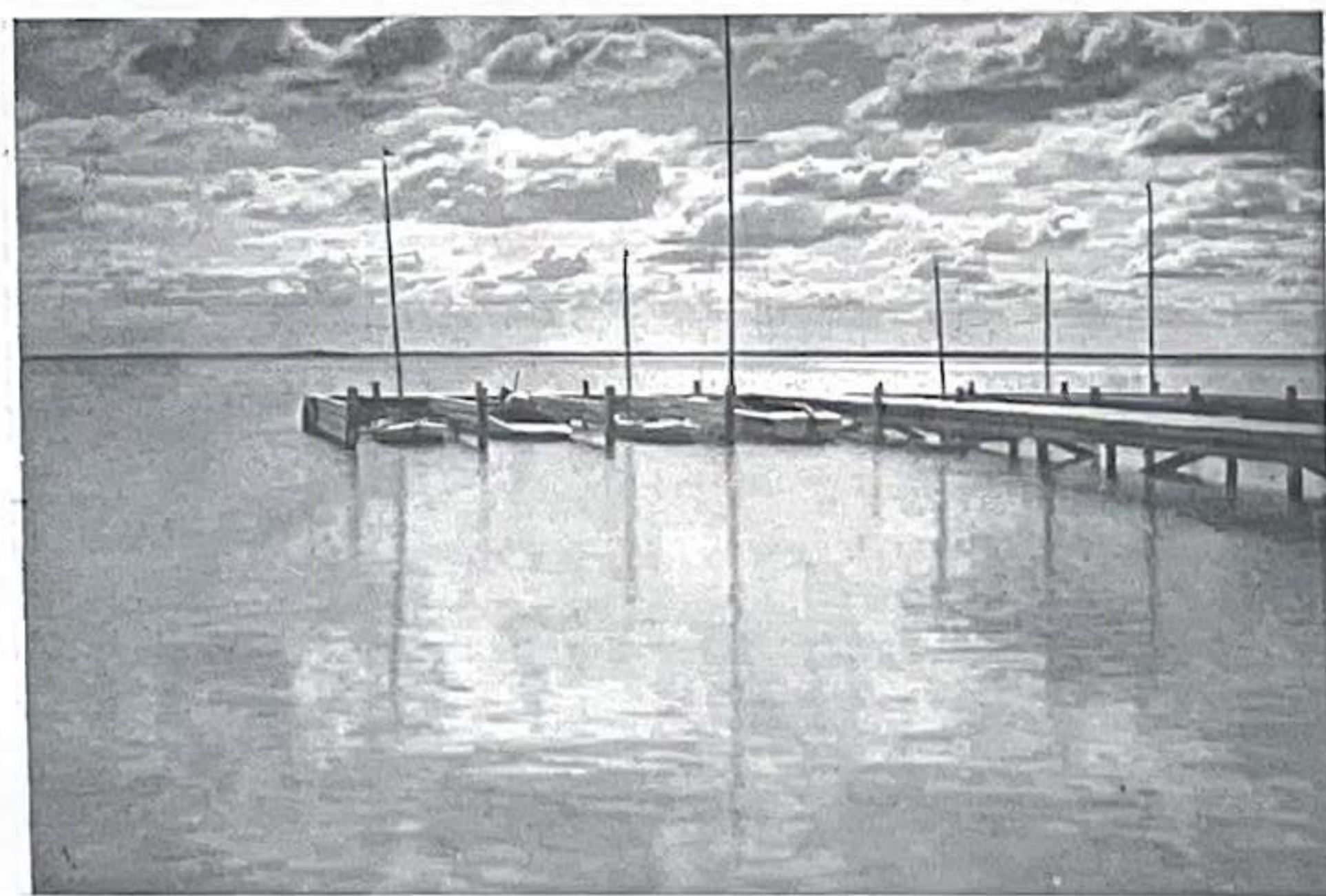
NANOSY



XIV FRAGMENT WSI NANOSY



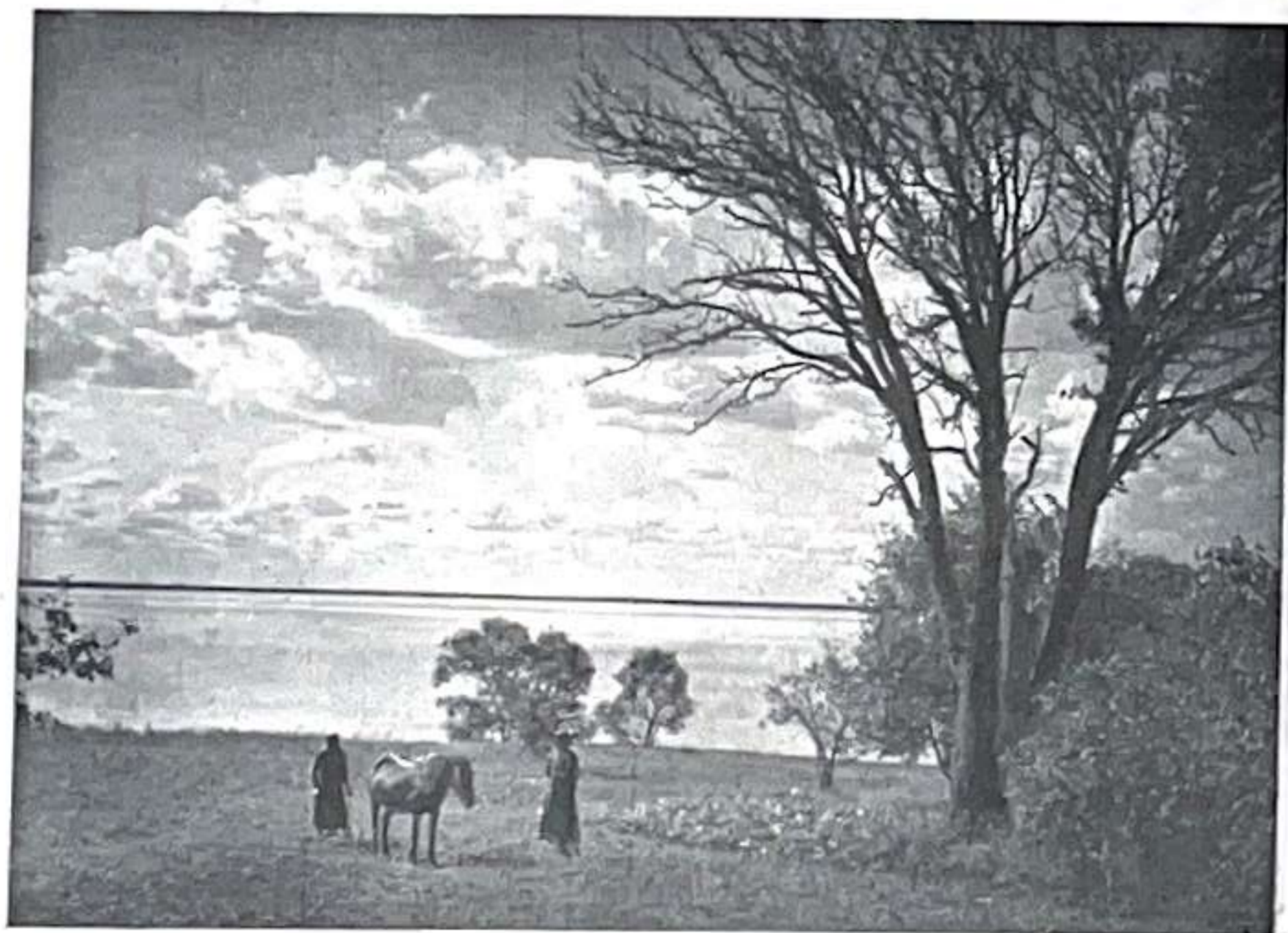
DESZCZ (Przystań Schr. Szk.)



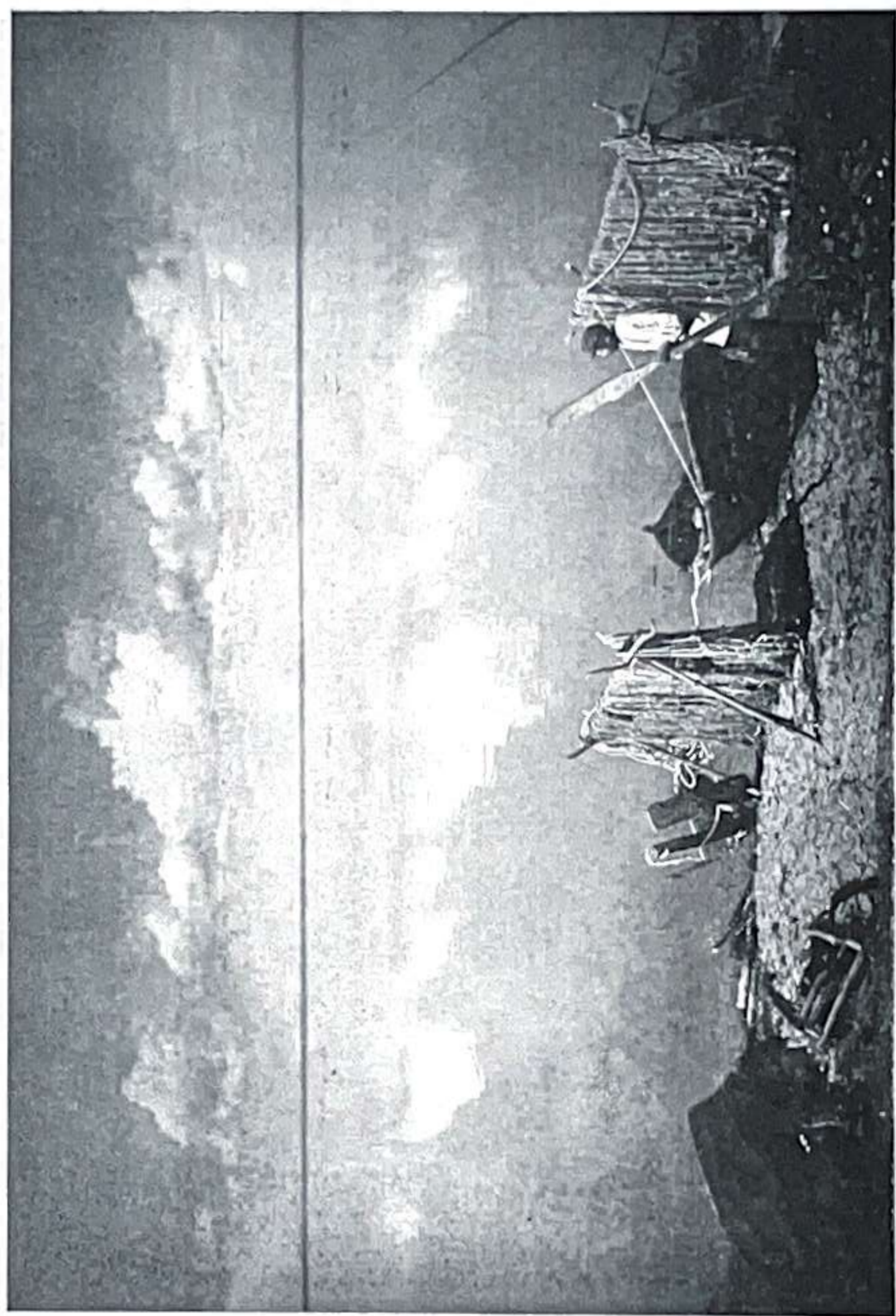
PRYZYTAŃ SCHRONISKA SZKOLNEGO



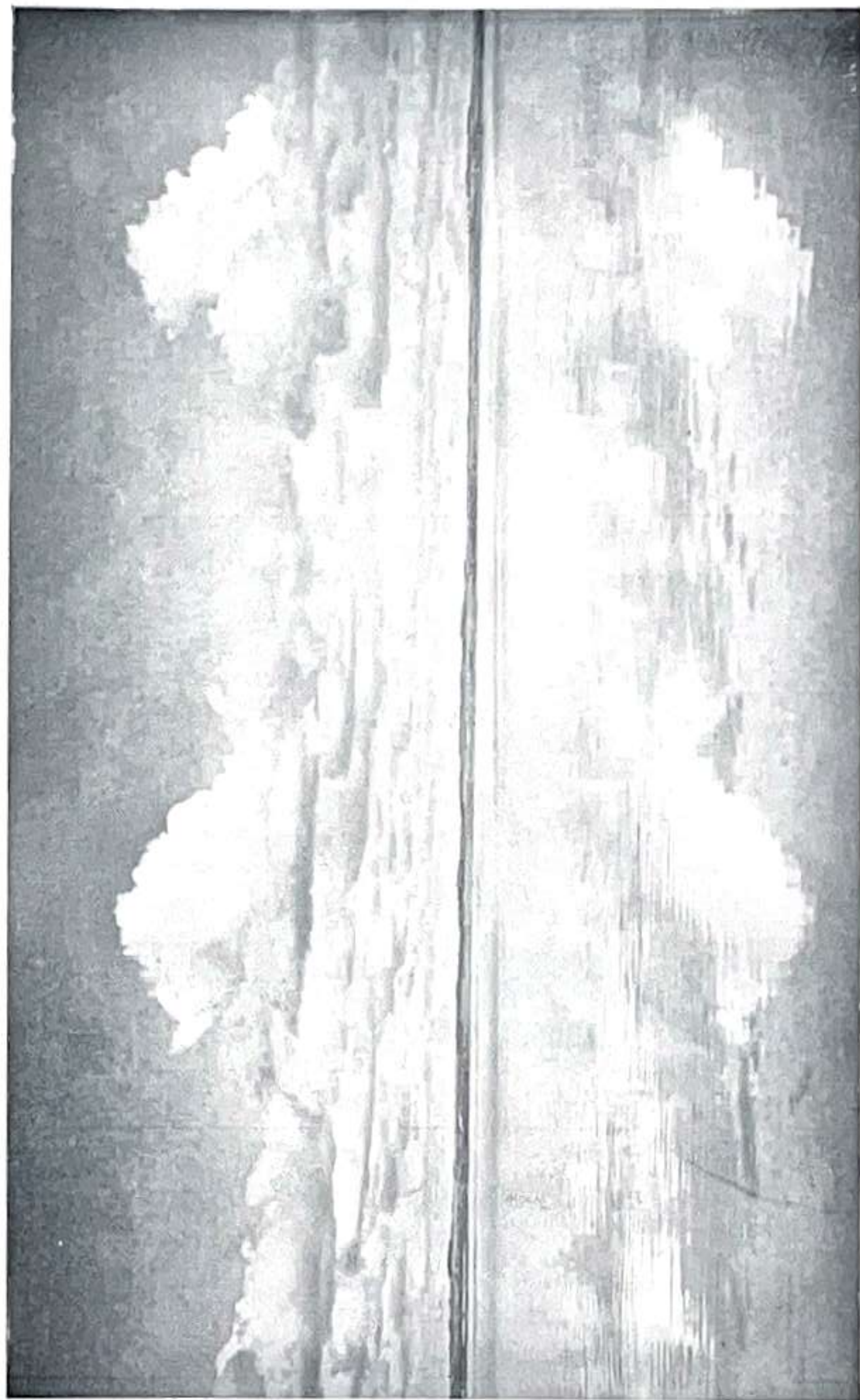
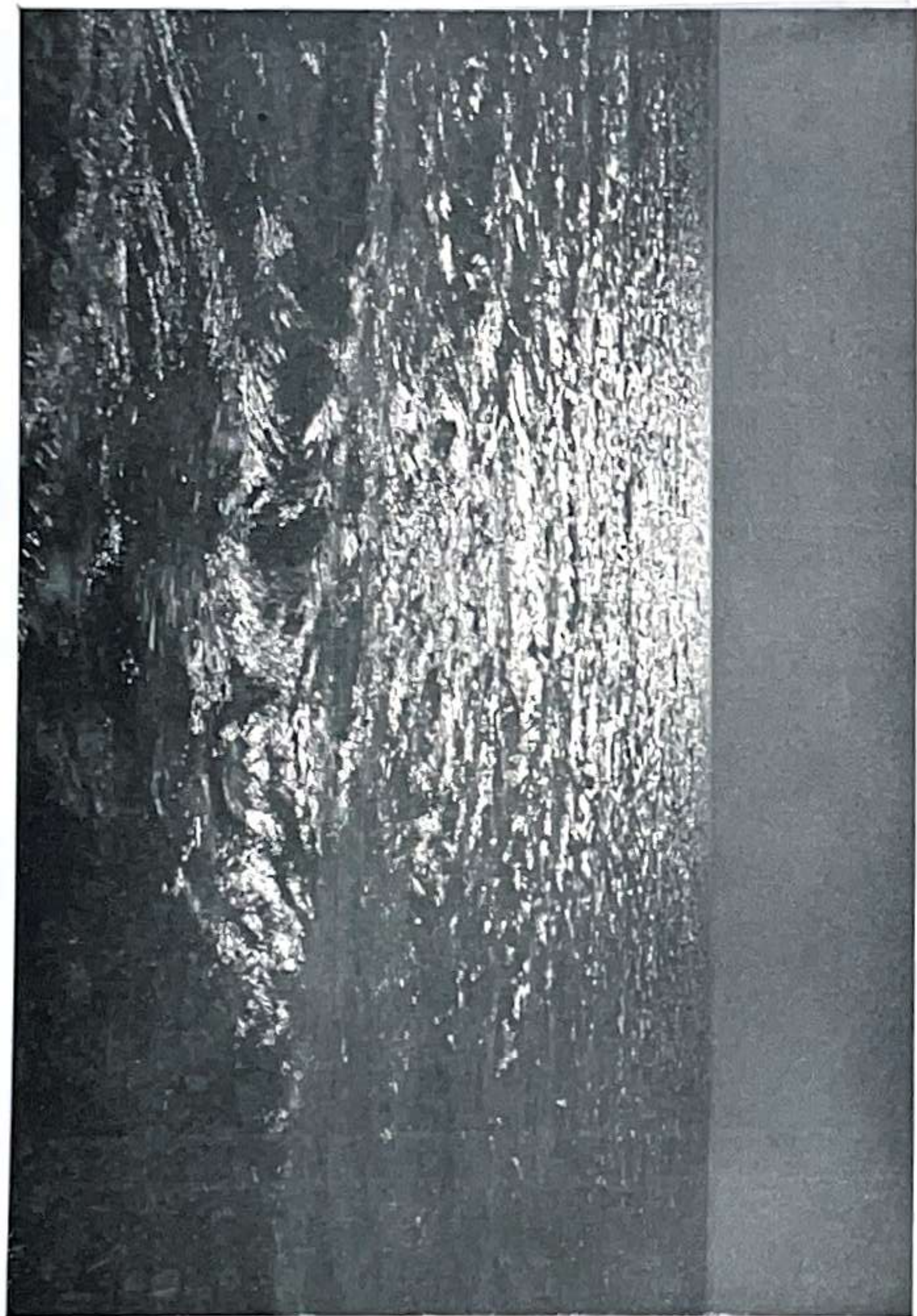
CMENTARZ NADBRZEŻNY — HATOWICZE

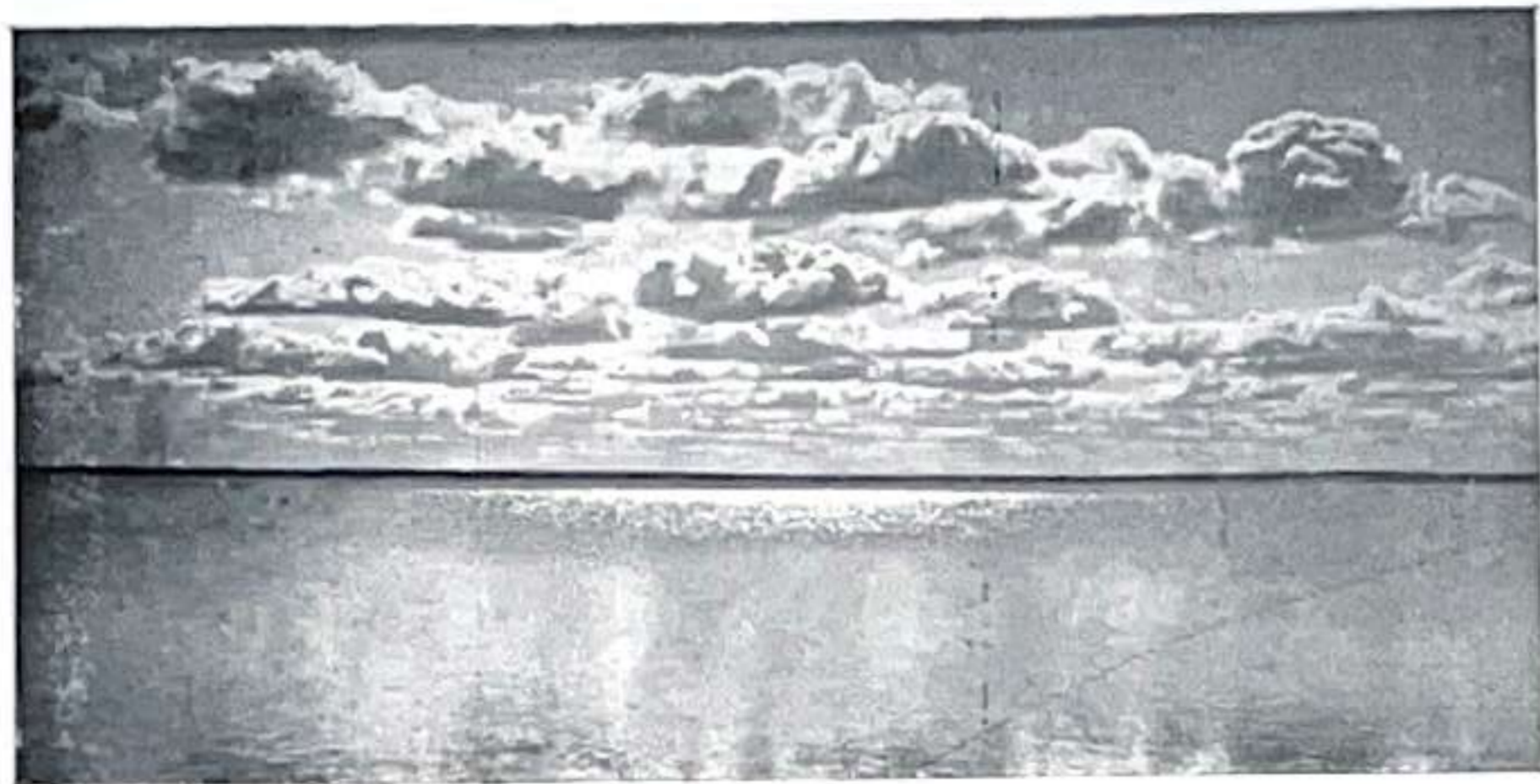


XVI PEJZAŻ NAROCZAŃSKI



WIELKA CISZA

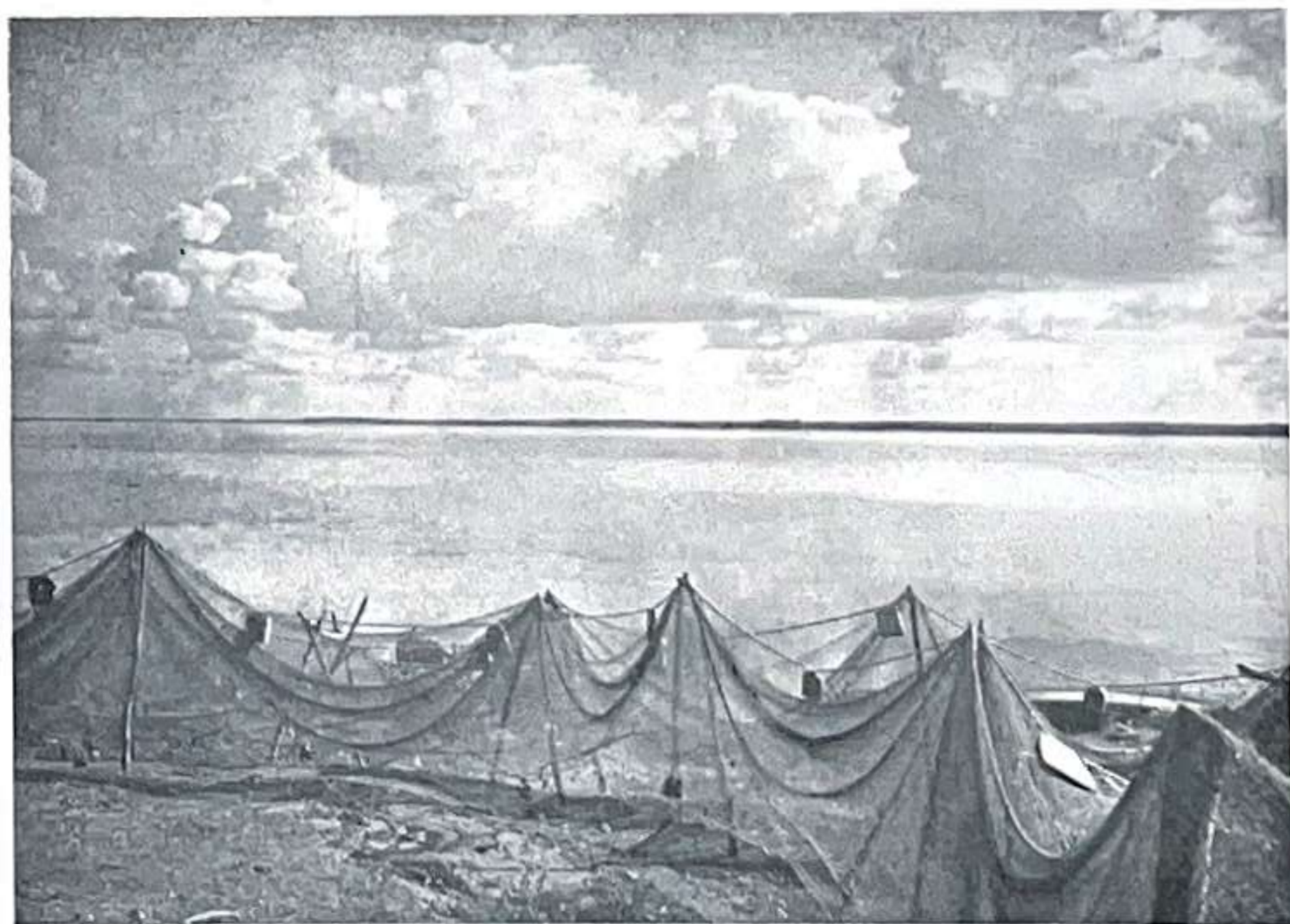




XX 1. 2. 3. NA BRZEGU POŁNOCNYM



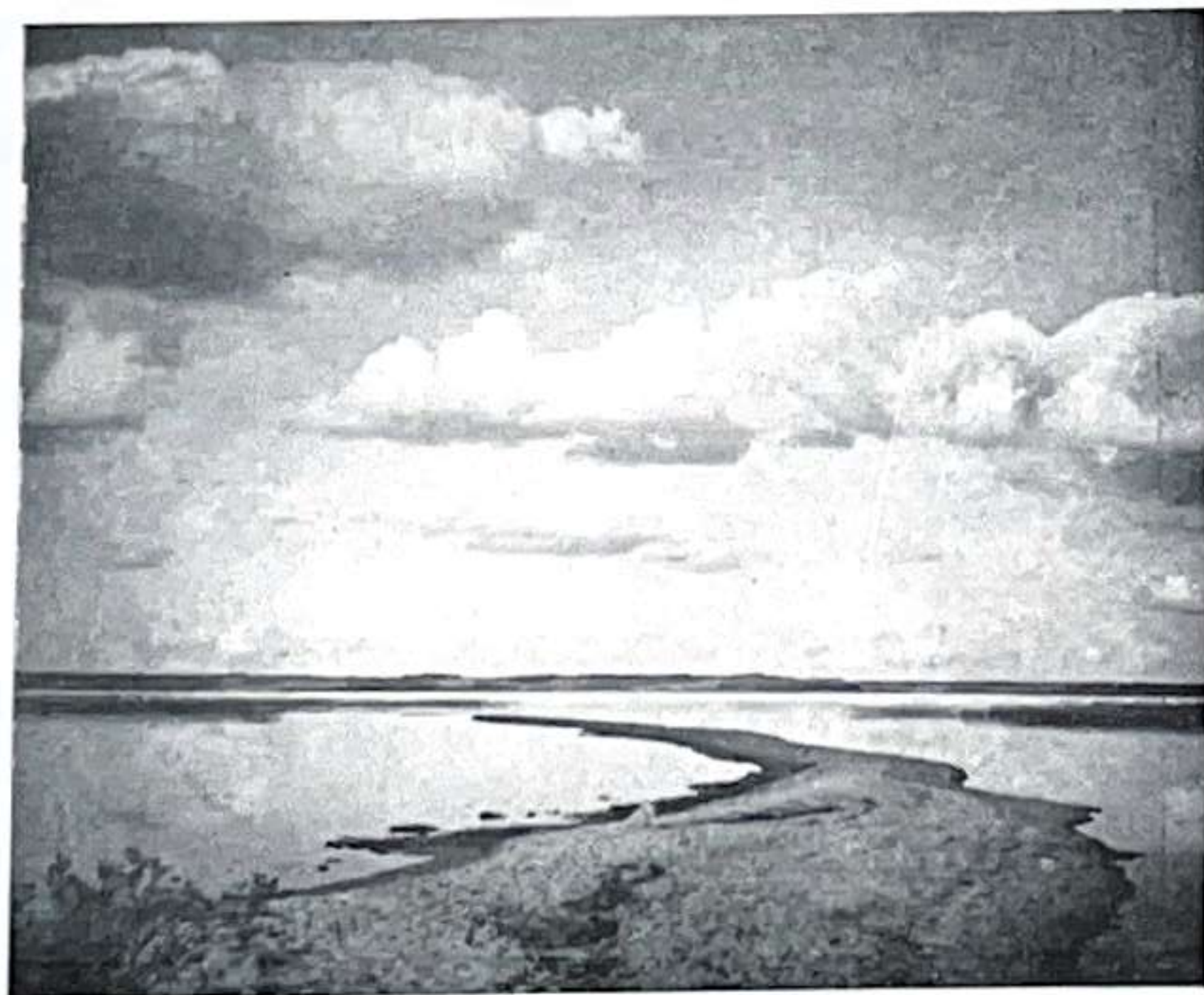
NANOSY



SIECI



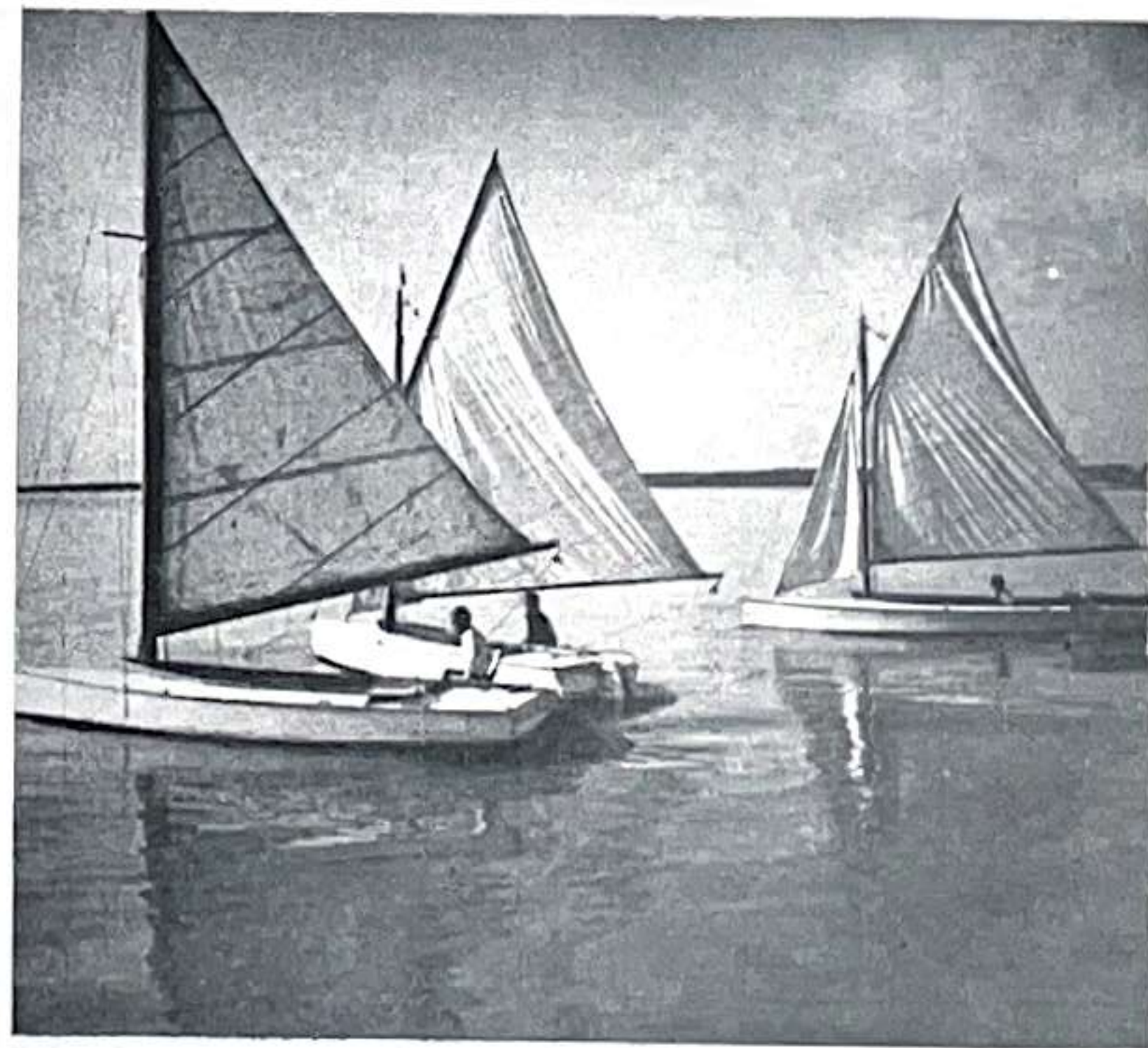
RANEK



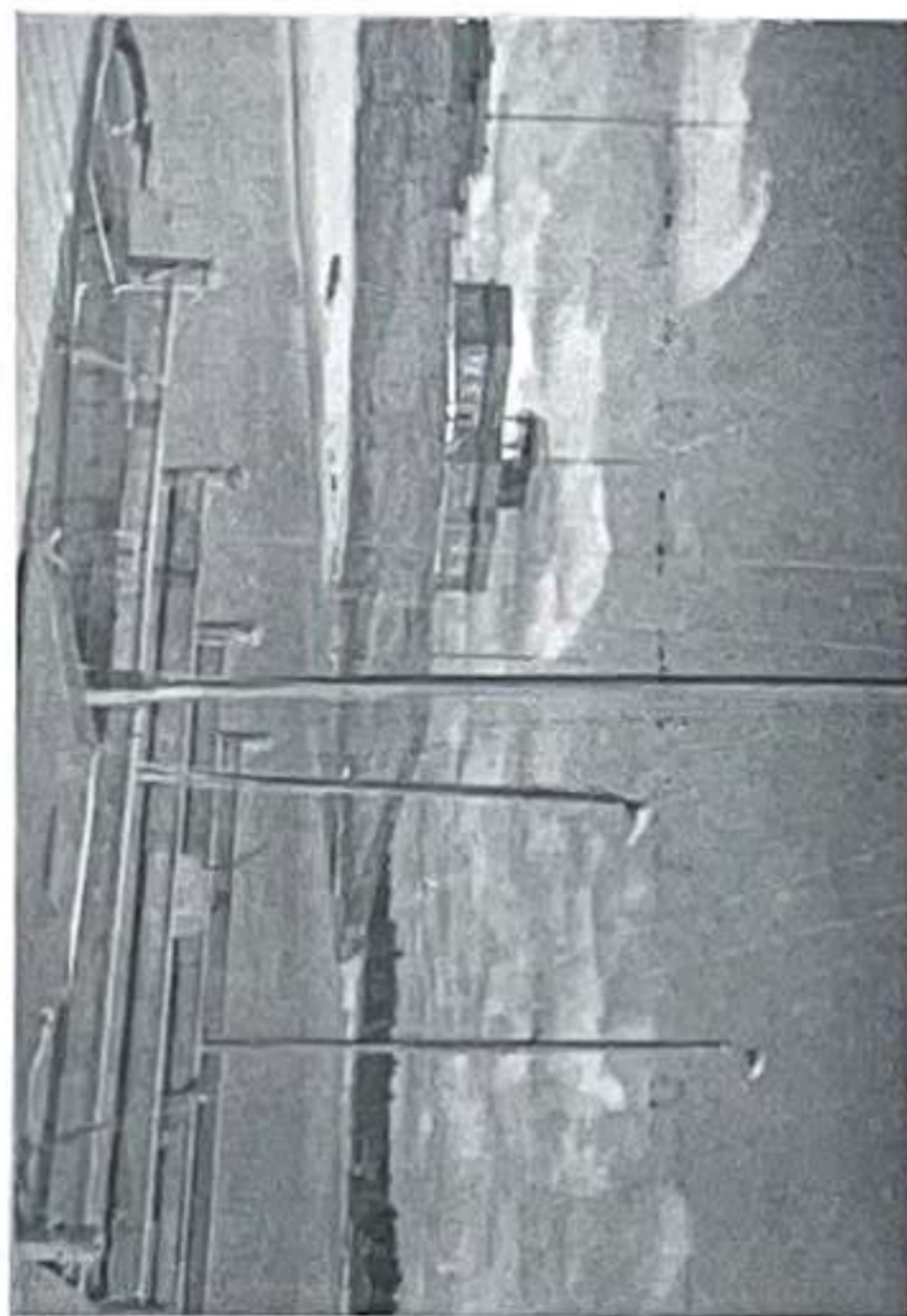
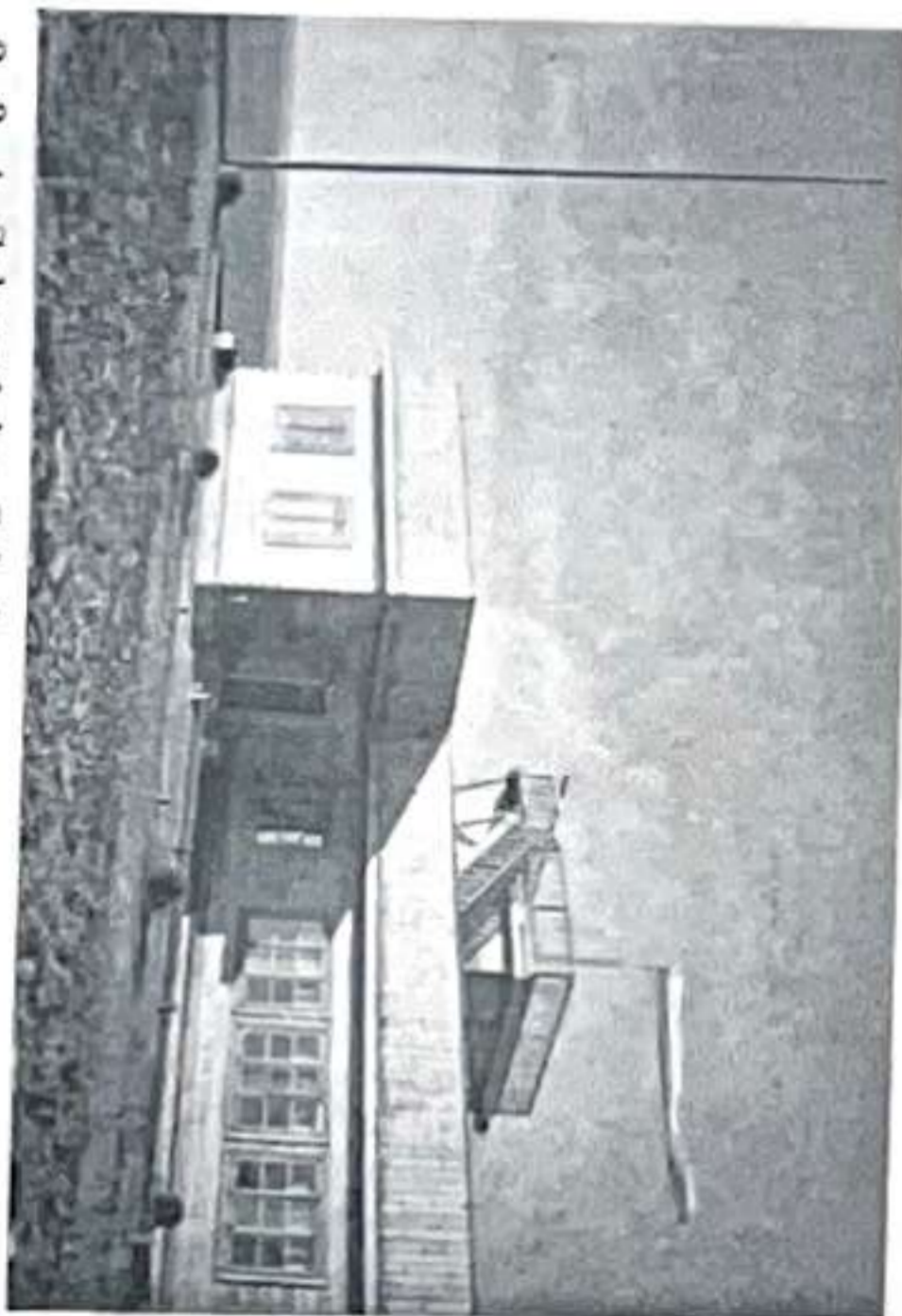
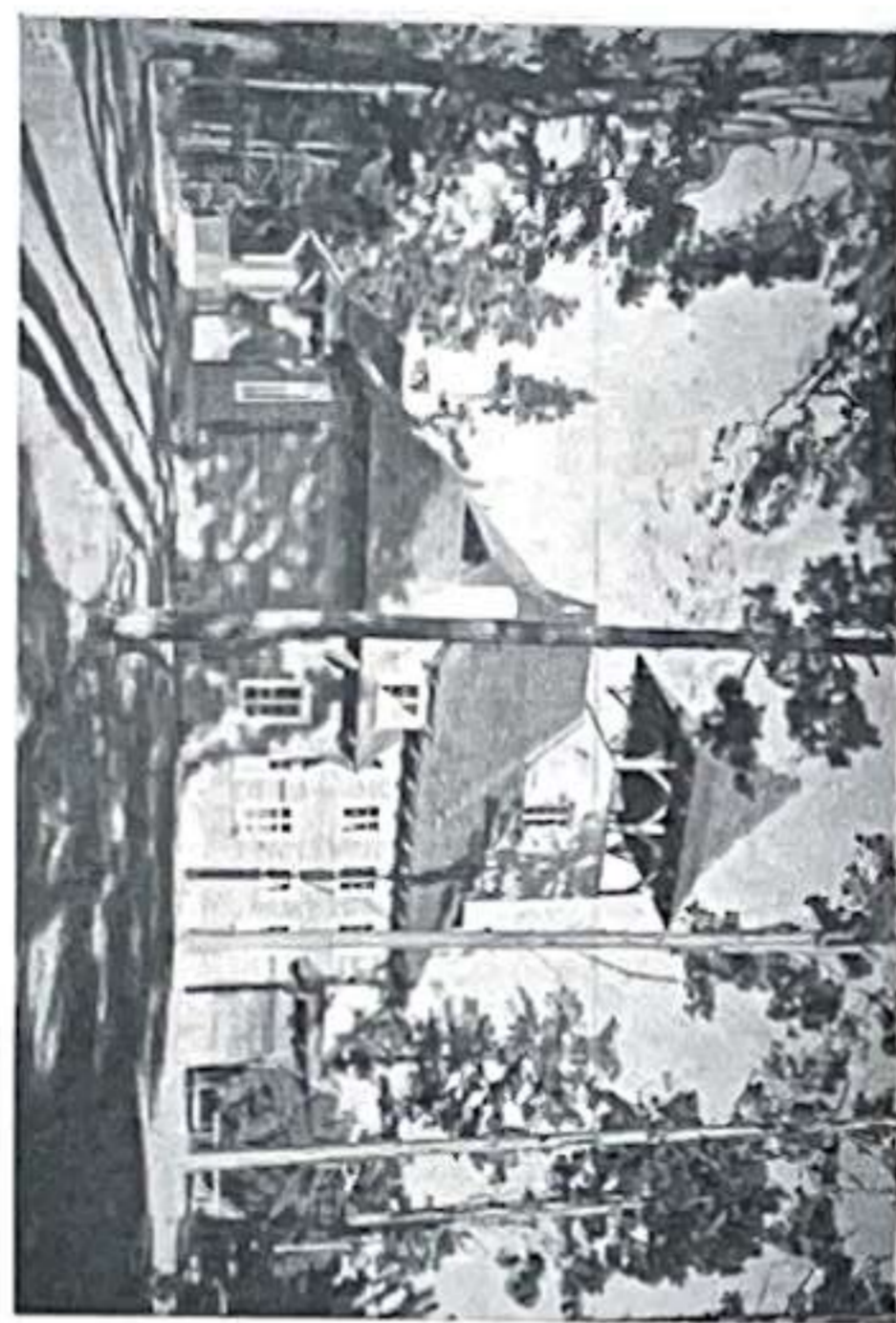
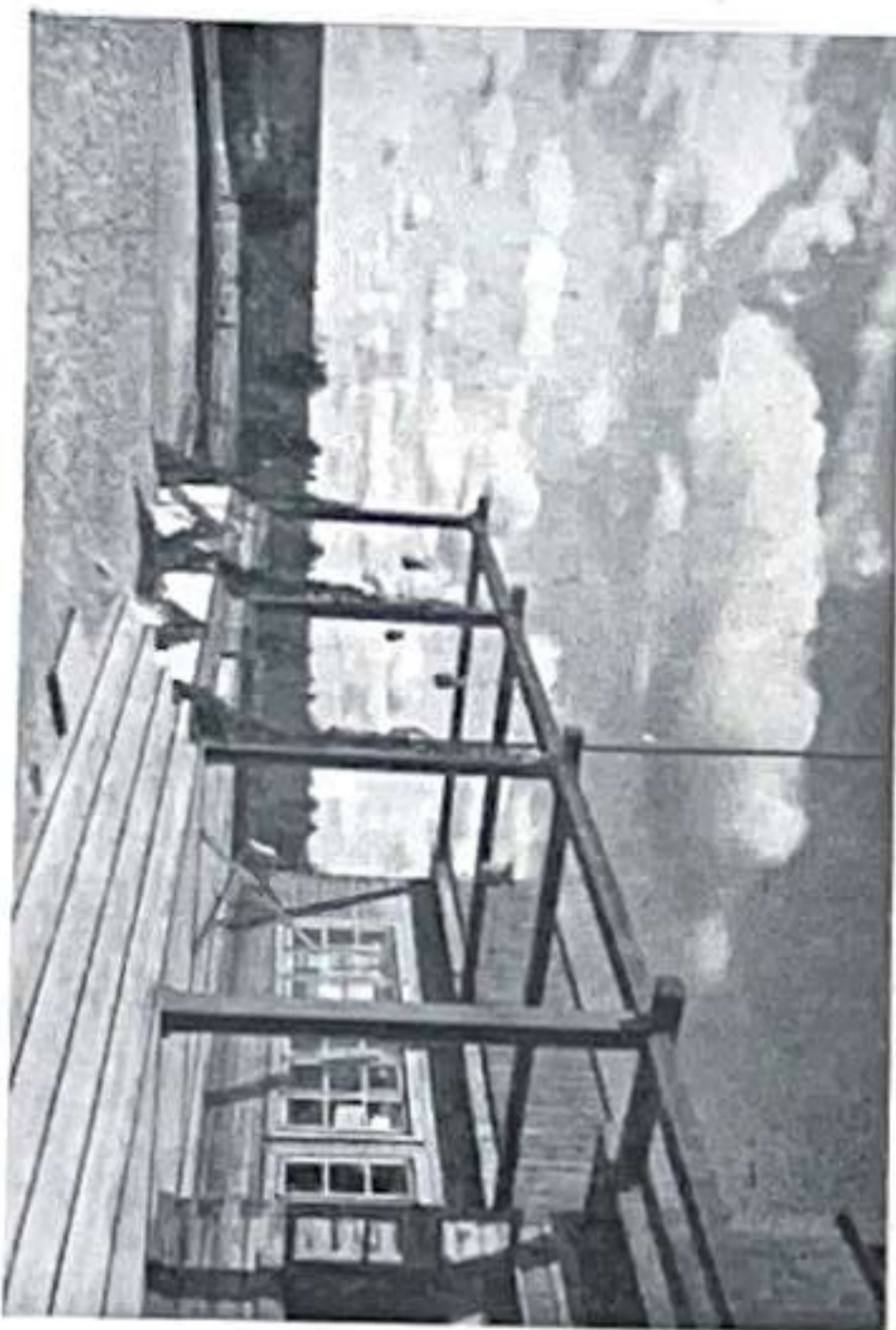
XXII „SMOK“ (CYPEL NANOSY)



PRZED ODPLYWEM



ŻAGLÓWKI



## CZEŚĆ INFORMACYJNA

OPRACOWAŁ S. T.

### DOJAZD

Jeziro Narocz, położone w powiecie postawskim, odległe jest od Wilna o 110 klm. Dojazd do Naroczy uskutecznić można autobusem lub koleją. Autobus odchodzi (jak dotąd o godz. 6 r.) z placu Orzeszkowej w Wilnie i po 5 godz. podróży malowniczą drogą przybywa na miejsce, t. j. do Schroniska Szkolnego, koło wsi Kupa. Dalej autobus podąża brzegiem jeziora jeszcze 14 klm. do Schroniska T-wa Przyjaciół Naroczy, a stąd do miasteczka Miadzioł. Droga z Wilna prowadzi przez N. Wilejkę, Mickuny, Ławaryszki, Michaliszki, Świr, Konstantynów i Kobylnik, znajdujący się już tylko 3 klm. od Naroczy. Najładniejszymi odcinkami drogi są puszcza Ławaryska i las od Konstantynowa. Podróż autobusem oprócz oglądania pięknego krajobrazu, a także możliwości zobaczenia jeziora Szwakszta (na żądanie autobus staje), ma jeszcze przywilej bezpośredniego wylądowania wraz z bagażem w dowolnym miejscu nad Naroczą, włącznie do najdalszego Schroniska.

Drugi sposób komunikacji, czyli kolej, łagodniejszy i wygodniejszy, połączony jest z przesiadaniem w Łyntupach i zmianą kolei szerokotorowej na kolejkę wąskotorową, wiodącą poprzez malowniczą okolicę do stacji Kobylnik. Tu furmanką trzy klm. do Kupy (do Schroniska Szkolnego).

### OPIS JEZIORA I OTOCZENIA

Do Naroczy zbliżamy się niespodziewanie i ogrom wody ukazuje się nagle przed oczyma. Stąd też widzimy Narocz w najdłuższym miejscu. Blisko 14 klm. przestrzeni wodnej przed widzem, a na horyzoncie wierzchołki drzew jakby rosły w wodzie. Obszar jeziora wynosi przeszło 80 klm.<sup>2</sup>, największa długość 13,2

klm., szerokość około 10 klm., obwód 40 klm. Głębokość największa około 35 metrów, średnia 11 metrów.

Brzegi Naroczy od północy prawie nagie i wysokie (najwyższe wzniesienia znajdują się za wsią Pasyunki, wzgórze te stanowią dział wodny pomiędzy Wilją a Dżisną) od południo-wschodu i—zachodu są przeważnie płaskie i dość obficie zalesione. Zwłaszcza piękny jest las pomiędzy wsią Hatowicze i źródłem rzeki Narocz. Źródło tej rzeki, zwane Skokiem, jest jedynym miejscem na Naroczy, gdzie brzeg jest mokry, w wielu miejscach zupełnie niedostępny, bagnisty, porośnięty sitowiem i karłowatą brzozą. Ale nawet tu dno jeziora nie jest muliste, ale piaszczyste i twarde, tak że droga przybrzeżna na dość znacznym odcinku (około  $\frac{3}{4}$  klm.) omija niebezpieczny ląd, a prowadzi wprost przez płytkie jezioro.

Poza mokradłami na Skoku brzegi Naroczy są suche, piaszczyste, w wielu miejscach pokryte obficie naniesionym przez fale granitowym piachem (żwirem), który tworzy zdrowe i miłe plaże. Jezioro u brzegów jest przeważnie bardzo płytkie: przybrzeżna mielizna ciągnie się wzdłuż całego brzegu i dochodzi w niektórych miejscach do znacznej szerokości (przeszło  $\frac{1}{2}$  klm.), przechodząc stopniowo w głębie. W innych miejscach (np. koło m. Ostrów) pas płytki jest wąski, zakończony stromo opadającą ścianą, która się zaznacza zmianą barwy wody: przy brzegu seledynowej, za ścianą niemal granatowej. To mienienie się barw wody, widoczne w dniu pogodnym nawet z daleka, z lądu, daje niezapomniany obraz.

Linja brzegowa jest naogół równa: jezioro nie tworzy wielu zatok. Największym półwyspem jest cypel, na którym leży wieś Nanosy, wrzynający się wgłąb jeziora na parę kilometrów. Ze wzgórz, położonych na północo-zachód od wsi Nanosy oraz z wysokich urwistych brzegów południowo-wschodnich cypla roztacza się wspaniały widok na obie części jeziora. Inne mniejsze cyple, naprzeciw wsi Cielaki nie dają tak pięknej perspektywy, co Nanosy.

Piaszczyste brzegi jeziora tylko na pewnych odcinkach są pokryte głazami narzutowymi.

Dno jeziora jest nierówne, stanowi w wielu miejscach dość znaczne wzniesienia, jakby góry. Tak np. szczyt góry Różanki, ciągnącej się w kierunku wsi Cielaki, znajduje się o 4 metry pod wodą, gdy w niewielkiej odległości w kierunku wyspy dno obniża się o kilkanaście metrów.

Podwodne wzgórze tylko w jednym miejscu wznosi się ponad powierzchnię wody, tworząc dość znaczną wyspę (należącą do m. Ostrów). Wyspa ta o powierzchni 7 ha, od wschodu niska i wilgotna, przechodzi ku zachodowi w płaskie wzniesienie, na którym, podług miejscowego podania, miał się znajdować zamek obronny, połączony z odległym o 1 klm. brzegiem (koło wsi Pasyunki) mostem czy też groblą z kamieni. O istnieniu zamku ma pomiędzy innymi świadczyć bogata i bujna roślinność wyspy: rośliny niespotykane na brzegach Naroczy, zostały tu podobno zasadzone przez właścicieli zamku.

Najgłębsze miejsca znajdują się, podług informacji rybaków, w pobliżu wsi Hatowicze (tak zwane hatowickie jamy).

Woda narocka w dniu spokojnym bardzo czysta i przezroczysta pozwala oglądać podwodne mchy i wodorosty nawet na znacznej głębokości. W wielu miejscach przybrzeżna mielizna jest zarośnięta rzadką trzcina. Naturalne walory brzegu, dna i wody psują do dziś niecałkowicie usunięte pozostałości wielkiej wojny, w postaci skrętów i odłamków pordzewiałych drutów kolczastych, które często, niewidoczne w piasku, mogą się stać powodem bolesnego poranienia. Narocz przez trzy niemal lata znajdowała się na linii frontu niemiecko-rosyjskiego, a w r. 1916 toczyły się tu zacięte walki i linje drutów w ziemie zakładano na lodzie.

Osiedla nad samą Naroczą były dość nieliczne. Do niedawna znajdował się tu jeden dwór, kilka wsi oraz pomniejszych osad. Piękny dwór Ostrów ze wspaniałe zarośniętym sadem, ciągnącym się w odległości kilkanastu kroków wzdłuż brzegu jeziora, został podczas wielkiej wojny doszczętnie zniszczony przez gęste linje okopów niemieckich i rosyjskich. Ocalałe stare jesiony i lipy stanowią jeszcze dzisiaj pięknie zadrzewiony zakątek na bezleśnym północnym brzegu Naroczy.

Właścicielką Ostrowia w ciągu wielu lat była znana w okolicy z zalet swego charakteru ś. p. Walerja Jabłońska, weteranka powstania 1863 r., zmarła w sędziwym wieku 90 lat (w r. 1934), otaczana powszechną czecią miejscowej ludności.

Obecnie Ostrów jest podzielony na mniejsze folwarki.

W ostatnich czasach w związku z ruchem turystycznym ilość nadbrzeżnych osad znacznie wzrosła.

## GOSPODARKA RYBNA

Białoruska ludność włościańska (prawosławna i katolicka) trudniła się w dużej mierze rybactwem, mając własne sieci lub pracując w charakterze najemników u przedsiębiorców, żydów, dzierżawiących tonie od dworów, położonych często daleko od jeziora. W przeważającej jednak swej części Narocz należy do skarbu państwa.

21 grudnia 1934 r. został utworzony obwód rybacki na jez. Narocz<sup>1)</sup> i obwód wzięła w długoletnią dzierżawę Dyrekcja Lasów Państwowych w Wilnie, gdyż dotychczasowa chaotyczna i rabunkowa gospodarka rybacka na Naroczy spowodowała całkowite wyniszczenie szlachetnych gatunków ryby, jak leszcz i sandacz, a także skarłowacenie sielawy.

Z ryb, spotykanych dziś w jez. Narocz, na pierwszym miejscu znajduje się sielawa, następnie zaś szczupak, o charakterystycznym złocistym odcieniu łuski, delikatny w smaku i mający ustaloną opinię na rynku, pozwalającą osiągać wyższe ceny za „Naroczańskiego szczupaka“. Poza tym są w jez. Narocz płocie, krasnopiory, okonie, liny i jazie.

Dyrekcja L. P. rozpoczęła od 1935 r. intensywne zarybianie jez. Narocz, zapuszczając, poraz pierwszy w historii Naroczy, 5.000.000 zarodowego wylęgu sielawy z jez. Pejpus w Estonji, celem wywołania skrzyżowania z miejscową sielawą i podniesienia jej gatunku.

Następnie Dyrekcja zapuściła znaczne ilości wylęgu siei, prawie niespotykanej w Polsce, zarybku węgorza i lina, a zapuści jeszcze w b. r. sandacza i raki, w przyszłości zaś i leszcza, celem restytuowania gatunku.

Przeciętna wydajność jeziora wynosi obecnie 13 kg. z 1 ha rocznie, co uczyni z całego jeziora  $8009 \times 13 = 104.110$  kg.

Gospodarkę rybną na jez. Narocz Dyrekcja L. P. zorganizowała na nowoczesnych zasadach. Na specjalnie zakupionej parceli koło wsi Kupa, powstaje państwowa osada rybacka z koniecznymi urządzeniami i utensyljami oraz duża własna wylęgarnia ryb.

<sup>1)</sup> Informacje o gospodarce rybnej zamieszczono na podstawie danych, udzielonych łaskawie przez p. L. Huszcę z Dyr. L. P.

## TURYSTYKA

Piękno Naroczy i wartość jej dla turystyki podnosi fakt, że nie jest ona jeziorem samotnym, ale jest otoczona innymi, mniejszymi jeziorami, z których każde ma swój urok i zasługuje na zwiedzenie.

Narocz łączy się za pośrednictwem krótkiego, liczącego zaledwie kilkaset kroków strumienia, zwanego Skiemą, z położonym na wschód jeziorem *Miastro*. Wąski przesmyk, dzielący *Miastro* od Naroczy, jest płaski i piaszczysty. Brzegi *Miastro* są mało zarośnięte, a głębokość jeziora nieznaczną. Najbardziej malowniczymi miejscami są okolice Giryn, Starego Miadzioła oraz zalesione brzegi południowej części jeziora.

Na wschód od *Miastro* położone jest mniejsze od niego jezioro *Batoryno*, połączone z *Miastrem* rzeczką.

Pomiędzy *Miastrem* a *Naroczą* w odległości  $\frac{3}{4}$  klm. od *Schroniska Towarzystwa Przyjaciół Naroczy* otoczone pięknym sosnowym lasem leży niezwykle urocze jezioro *Blado*, stanowiące przez swoją zaciszną przeciwstawienie ogromu i potęgi *Naroczy*.

Jednak bezsprzecznie najpiękniejszym w otoczeniu *Naroczy* jest jezioro *Miadzioł*, odległe od *Naroczy* (w prostej linii) o  $3\frac{1}{2}$  klm. Jezioro *miadziolskie*, (głębokość do 12 metrów) chociaż 6 razy mniejsze od *Naroczy* jest dużym, głębokim jeziorem, a tak malowniczym, że wielu turystów oddaje mu pod tym względem pierwszeństwo. Zwłaszcza zasługują na poznanie kręte, tworzące przedziwne w swoim kształcie półwyspy, brzegi południowej części jeziora (w okolicy folw. *Wołoku* i wsi *Skory*), pokryte pięknym lasem lub niemniej pięknymi zaroślami oraz wyspa ze śladami dawnego zamku, podobno książąt *Radziwiłłów*. W drodze powrotnej z jeziora *Miadziolskiego* warto zawadzić o miniaturowe wśród sąsiednich ogromów wodnych, ale malownicze i tajemnicze, wdole położone jezioro *Rudakowo*. Najdalszym w tym kompleksie jezior, ale za to pierwszym napotkanym w drodze autobusem z *Wilna* do *Kobylnika* jest w lesie położone jezioro *Szwańska* (około 9 klm. na półn. zach. od *Naroczy*). Poza wodami warto zwiedzić miasteczko *Stary Miadzioł*, pięknie położone na brzegu jeziora *Miastro* z kościołem i klasztorem (wybudowanym w r. 1754) *Karmelitów*.

Dwie drogi wodne prowadzą turystę z *Naroczy*. Jedną bardziej uczęszczaną rzeką *Narocz* do *Wilji*, drugą mniej znaną z jeziora *Miadzioł* rzeczką *Miadziołką* do *Dzisy*, a stamtąd

do Dźwiny. Jak już bowiem wspomniano łąd, dzielący Narocz od Miadzioła, stanowi dział wodny Wilji i Dźwiny, przez ten pas łądu zapewne przewozili (włóczyli) za dawnych czasów, gdy woda była jedynym dogodnym środkiem komunikacji, kupcy swój towar, o czym zdają się świadczyć nazwy miejscowe nad najbardziej do Naroczy zbliżoną zatoką Miadzioła: folw. Wołok i Wołoczek.

Wspaniała przestrzeń wodna jeziora Narocz jest wyjątkowo podatna dla rozwoju żeglarstwa. Brak licznych wysp i szeroki kształt jeziora ułatwia manewrowanie łodzią żaglową. Silne wiatry i duże fale wymagają jednak dobrych łodzi, kajaki zwykle mogą pływać tylko przy bardzo słabych wiatrach i to bliżej brzegu. Natomiast bardzo przydatny jest kajak z fartuchem, zwłaszcza składak, który jednocześnie jest niewywrotny. Nurzanie się takim składakiem z żaglem lub bez w falach Naroczy stanowi prawdziwą atrakcję. Trzeba jednak pamiętać, że Narocz jest niebezpieczna i należy być b. ostrożnym. Z brzegu często można się pomylić co do siły wiatru i wielkości fal na pełnym jeziorze.

Najwspanialszą oczywiście wycieczką jest spływ z Naroczy do Wilna rzeką Narocz i Wilją. Trasa ta wyjątkowo piękna i dość łatwa wymaga od 5 do 6 dni pracy na kajaku, a jeśli ktoś nie śpieszy, to warto ją odbyć wolniej. Nocować można w nadbrzeżnych wsiach (w stodołach) lub najlepiej we własnym namiocie, wybierając najładniejszą okolicę. Na Wilji od czasu do czasu są kamienie i wiry, ale niezbyt groźne i będąc uważnym można łatwo zorjentować się, jak z tem sobie radzić. Płynąć trzeba t. zw. lejem, utworzonym przez kamienie z obu stron.

Tak oto się rozwija turystyka i żeglarstwo nad jeziorem, którym przed wojną nikt się nie interesował, a tylko (poza rybakami) mieszkańcy osiedli nadbrzeżnych (głównie Ostrowia) i to ci najmłodsi używali kąpieli i pływania łodzią. Samotna łódź rzadko spotkała towarzyszkę. A dziś? Piękne żaglówki (i motorówki) migocą w słońcu, kajaki mienią się barwą, warczy motor, holujący łodzie rybackie, na brzegu tu i ówdzie przystanie, obozy harcerskie, Ligi Morskiej, Schroniska i t. d.

Tubylcy oszołomieni ruchem i hałasem dotąd nieznaczni może nawet są trochę zmartwieni, ale niechże woda Narocka będzie dla wszystkich.

Z propagandą krainy naroczańskiej związane jest nazwisko b. wojewody wileńskiego marszałka Senatu Władysława Raczkiewicza, który zainicjował powstanie T-wa Przyjaciół Naroczy

w Wilnie z oddziałem w Postawach. Dzięki temu w r. 1929 zostaje otwarte pierwsze schronisko nad Naroczą.

Inicjatywie zaś Kuratora Okręgu Szkolnego Wileńskiego p. K. Szelańskiego zawdzięcza swe powstanie drugie schronisko (szkolne) w r. 1933. Przystań tego schroniska jest zaopatrzona w liczny tabor żeglarski. Często więc są urządzone kursy żeglarskie, a w ostatnich czasach zaczęło w zimie uprawiać na łodzie sport na żaglach z płozami (bojery).

Oprócz dużych schronisk są nad jeziorem i małe prywatne pensjonaty, np. p. H. Jabłońskiej w Budrysówce z dobrą plażą.

#### L I T E R A T U R A

Wróblewski Witold. Jeziora święciańskie. Pamiętnik Fizyograficzny. T. III, str. 75, 1883.

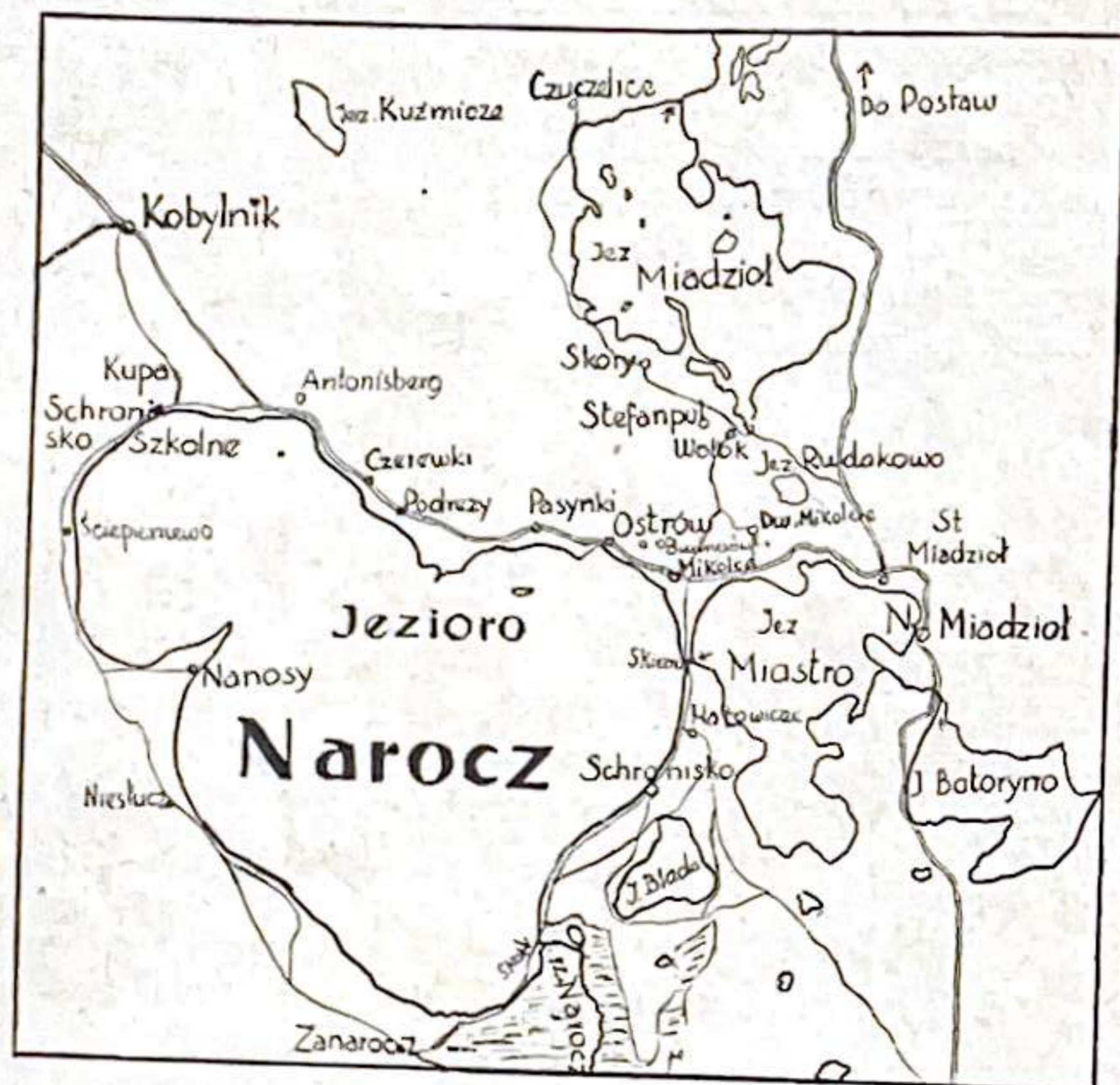
Słownik Geograficzny Król. Pol., Warszawa 1880 i n.

Henryk Pawłowski. Znasz-li ten Kraj? Wilno 1933.

Witold Hulewicz. Narocz—wileńskie morze. Gazeta Polska Nr 189, 10.VII. 1934.

## MAPA NAROCZY I JEZIOR OKOLICZNYCH

Skala 1 : 200.000



Mapa orientacyjna komunikacji wodnej Naroczy z Wilnem

Skala 1 : 2.000.000



## SCHRONISKO WYCIECZKOWE Kuratorjum Okr. Szkolnego Wileńskiego

Posiada: Budynek mieszkalny na 60 osób, świetlicę z czytelnią pism, radjo i telefon, własną elektrownię. Opieka lekarska na miejscu.

Przystań posiada 5 żaglówek i 40 kajaków; boisko do gier sportowych, plac tenisowy.

Oplaty za noclegi: dorośli 1 zł., młodzież szkolna 50 gr.; wycieczki zbiorowe: młodzież 40 gr., nauczyciele 50 gr. Za pościel dopłata 25 gr. jednorazowo.

Pozatem Komisja Wycieczkowa organizuje w r. 1935 przy Schronisku dom wypoczynkowy z podziałem na okresy korzystania:

I-szy okres	—	od 17.VI	do 29.VI	35 r.	(12 dni)
II-gi	"	" 2.VII	" 14.VII	"	(12 dni)
III-ci	"	" 15.VII	" 27.VII	"	(12 dni)
IV-ty	"	" 3.VIII	" 16.VIII	"	(13 dni)
V-ty	"	" 17.VIII	" 1.IX	"	(14 dni)
VI-ty	"	" 1.IX	" 16.IX	"	(15 dni)
VII-my	"	" 16.IX	" 1.X	"	(15 dni)

Ryczałtowa opłata ulgowa za korzystanie z jednego okresu wynosi — 10 zł. (dziesięć zł.) wpisowe i 30 zł. (trzydzieści złotych) za kosztą mieszkania i utrzymania (posiłki cztery razy dziennie: śniadanie, obiad, podwieczorek i kolacja).

Można zapisywać się na jeden okres, bądź też kilka, podając dokładnie, z których okresów chce się korzystać.

Osoby, które chcą spędzić lato nad jez. Narocz muszą przesłać w terminie na dwa tygodnie wcześniej zgłoszenie **do Szkolnego Schroniska Wycieczkowego nad jez. Narocz, poczta Kobylniki, woj. Wileńskie**, oraz przesłać przekazem pocztowym jednocześnie wpisowe po 10 zł. za każdy okres.

Przyjeżdżając nad Narocz należy przywieźć 2 prześcieradła, koc i poduszkę.

Opłatę za utrzymanie i mieszkanie uiszcza się w pierwszym dniu pobytu w schronisku.

Do zgłoszenia należy dołączyć znaczek za 25 groszy na odpowiedź.

## SPIS RZECZY

	Str.
Przedmowa . . . . .	5
Avant-propos . . . . .	7
I. Do Kobylnika . . . . .	9
II. Do Kupy . . . . .	15
III. Biała noc . . . . .	19
IV. Przez Hatowicze do Uzły Wielkiej . . . . .	22
V. Złoty dzień . . . . .	28
VI. Czerwony wieczór . . . . .	31
Ilustracje . . . . .	I—XXIV
Część Informacyjna. Opr. S. T. . . . .	33
Mapa . . . . .	40
Schronisko Wycieczkowe Kuratorjum Okr. Szk. . . . .	41
Związek Propagandy Turystycznej . . . . .	42
Spis ilustracyj . . . . .	43



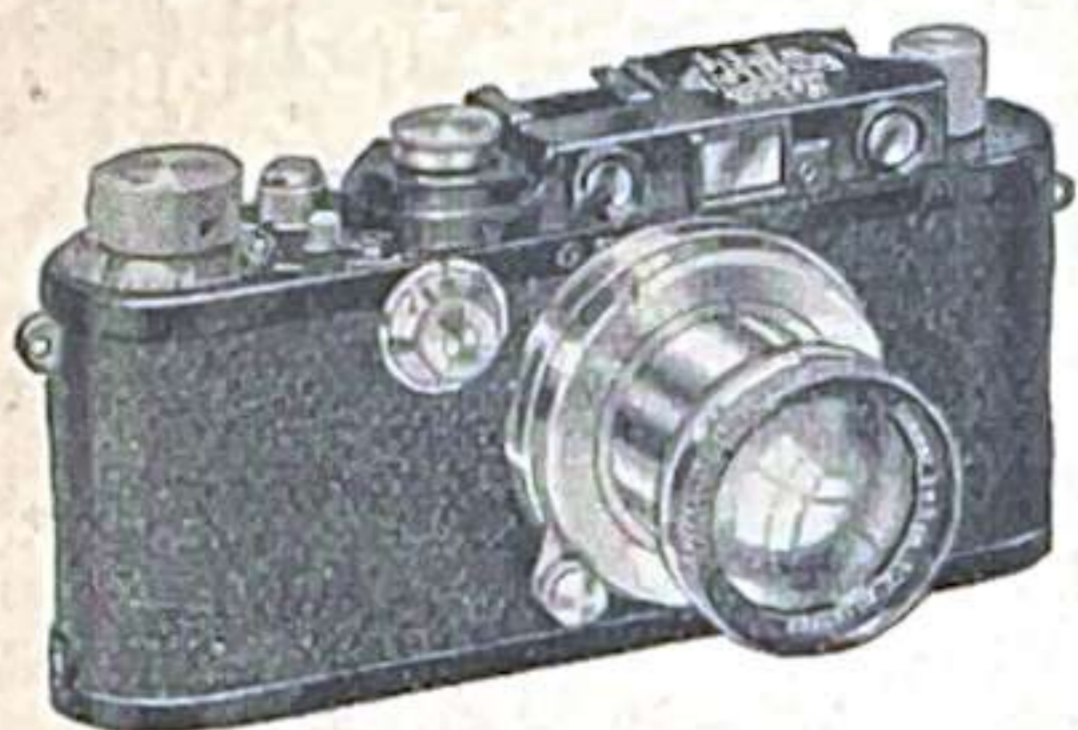
**BŁONA**  
**FOTOGRAFICZNA**  
**WSZECHSTRONNIE**  
**DOSKONAŁA**

**ALFA**

FABRYKA PŁYT, BŁON I PAPIERÓW FOTOGRAFICZNYCH  
 BYDGOSZCZ

SZCZYT PRECYZJI

TO



*Leica*

NAJBARDZIEJ NOWOCZESNA  
KAMERA FOTOGRAFICZNA

Nieobowiązujące demonstracje  
w każdym większym sklepie  
fotograficznym

Wyczerpujące katalogi bezpłatnie!

ERNST LEITZ, Zakłady optyczne w Wetzlar

Najprzyjemniej fotografować...



KAMERĄ BRILLANT

*Voigtlander*

Zdejmowanie tą kamerą sprawia podwójną przyjemność. Wielki, jasny obraz w celowniku pozwala od razu osądzić, czy motyw wart jest zdjęcia. A nadto fotografowanie Brillantem wypada bardzo tanio, bo na zwykłej błonie 6 × 9 cm. uzyskuje się 12 zdjęć 6 × 6. W każdym składzie fotograficznym chętnie pokażą Wam tę kamerę. Obejrzyjcie ją, będziecie zachwyceni.

PROSPEKTY BEZPŁATNE!

VOIGTLÄNDER & Syn, Tow. Akc., Brunświk

JENERALNA REPREZENTACJA NA POLSKĘ:  
WARSZAWA, CHMIELNA 47<sup>a</sup>